ROK XVII NR 5 (845) ŁÓDŹ, 31 STYCZNIA 1974 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ODGŁOSY

Feliks Krzewiak – DWA STANOWISKA W SPRAWIE POLSKI ★ Janka Bryl – TRZY RAZY O SAMOTNOŚCI ★ Andrzej W. Mikołajewski – GDZIE JEST REKLAMA? ★ Jerzy Czech – F-104 ZAPEWNIA SWOJE USŁUGI ★ FELIETONY ★ RECENZJE ★ SEKS W LITERATURZE

JÓZEF POTĘGA

„ZNAJDŹCIE MI, CHOĆBY JEJ GRÓB..."

Gdyby inżynier Juliusz Wojtowicz nie wybrał się z Chorzowa na wycieczkę do Kijowa, nie spotkałby w pociągu Kijów-Moskwa postawnego mężczyzny ze znaczkiem „Za zasługi dla Kielecczyzny" w klapie. Gdyby tenże mężczyzna, wyjeżdżając służbowo do Moskwy nie dostał miejsca w tym samym sleepingu, w którym jechała polska wycieczka... Gdyby nie wpiął do klapy przed wyjazdem tego odznaczenia otrzymanego w 25 rocznicę partyzanckiej bitwy pod Gruszką...

W każdym razie dogadali się. Polacy, jak zwykle naród wobec braci Słowian szczególnie gościnny, wydobyli „pół litra żyta", znalazła się polska kiełbasa. Ale nieznajomy pić nie chciał, tłumacząc, że wypije dopiero wtedy, gdy im całą sprawę opowie.

Dalszy ciąg na str. 5

Krystyna Różycka (zdjęcie z 1943 r.)
Fot. Archiwum

MAREK WAWRZKIEWICZ

CI, KTÓRZY OŻYWIAJĄ MIASTO

Fot. Autor

Najpiękniejsze krajobrazy są martwe, jeśli nie ożywia ich wzrok człowieka. Najprzytulniejsze miasta są zimne i obce, jeśli oglądamy je bez kontaktów z ludźmi, którzy w nich zamieszkują, których spotykamy na ulicach, bulwarach, którzy zapalają światła w oknach domów. Wysłuchuję czasami relacji z podróży zagranicznych, które odbywają uczestnicy różnego rodzaju wycieczek. Choćby nie wiem jak wycieczka była udana – i program bogaty, i cel osiągnięty bez przeszkód i nadmiernego zmęczenia – zawsze słyszę w głosach podróżników cień zawodu, rozczarowania. A przecież widzieli nieznane krajobrazy, podziwiali inne miasta, zwiedzali legendarne muzea i galerie, oddychali innym powietrzem... Co jest przyczyną niezadowolenia, co powoduje że wrażenia są niepełne, a obrazy innego kraju wykrzywione, czasami wręcz fałszywe. Zabrakło właśnie kontaktów z tamtymi ludźmi, którzy życiu w tamtym, obcym kraju, nadają swój sens, formują swoje prawa społeczne, tworzą własne obyczaje.

Dalszy ciąg na str. 5

DRAMAT ZAZDROŚCI

Czytaj na str. 4

„WYROBY KRAWACIARSKIE"

— Jak ja teraz z przeproszeniem, wyglądam: wyśmiewam bzdury językowe, niefrasobliwość, brakoróbstwo — w felietonie, który sam jest szczytem brakoróbstwa? W którym cale akapity stanęły na głowach, po podmiotach nie ma orzeczeń, zdanie się ani zaczyna ani kończy, a wszystko razem nie ma za grosz sensu? Ja wiem, trzeba mieć pecha, a ja mam. I to mój pech sprawił, że felieton z numeru 3/843 pt. „Wyroby krawaciarskie" wymknął się jakoś spod czułej kontroli korekty. — Wyglądam trochę jak ten garbaty, który każdemu zwracał uwagę: nie garb się! Korektorska nieuwaga może czasem skutkować tak samo jak błędna informacja. Na przykład:

Notatka recenzyjna w numerze 51/52 „Odgłosów" z 20.XII.73 o książce S. Talikowskiego „Reymont w kręgu rodzinnym" zaczyna się słowami: „O tym że Władysław St. Reymont naprawdę nazywał się Rejmont, uczą nawet dzieci w szkołach".

Otóż tak chyba nie uczą, bo to nieprawda. Reymont nazywał się naprawdę Rejment. Wystarczy zajrzeć do Małego Słownika Pisarzy Polskich, żeby się o tym przekonać. To jest akurat drobiażdżek, ale przecież błędna informacja mogła być bardziej ważka, i co wtedy? Coś by trzeba zrobić, żeby przykrócić swawolę negatywnego duszka, zwanego drukarskim chochlikiem. Czego życząc, pozostaję z poważaniem — — —

ĆWIEK

„WŁÓKNIARZE"

W numerze 46 „Odgłosów" z 15 listopada 1973 roku Konrad Frejdlich zamieścił artykuł pt. „Robotnik w literaturze", w którym dokonał sumarycznej prezentacji autorów dzieł literackich, traktujących o naszym mieście, począwszy od połowy XIX wieku. W artykule tym wspomniano między innymi Timowskiego — Kostina (błędnie nazwanego Timkowskim) oraz Józefa Jeremskiego (błędnie nazwanego Jaremskim).

O tym ostatnim pisze Frejdlich: „Robotnik łódzki trafi wreszcie na karty powieści Józefa Jeremskiego („Włókniarze", „Ludzie z parteru") ale w tych próbach prozatorskich, posiadających bogatą warstwę obycza-

Dalszy ciąg na str. 6

HENRYK POLAK

Z BIAŁYM ŁABĘDZIEM

Kiedy przejeżdża się przez to miasto, stanowiące jeden z węzłów kolejowych, zazwyczaj z okien wagonu dostrzega się nowe mury fabryki, trochę rachitycznej zieleni; parterowe domki i pierwszych kilkanaście bloków powstającego osiedla. Czasami tylko z zakamarków pamięci wyłoni się sklepowa metka z fabryczną marką jednego z wyrobów produkowanych w mieście, o którym stacyjna tablica głosi, że to Zduńska Wola.

Jeszcze kilkanaście lat temu Zakłady Dziewiarskie „Wola" specjalizowały się w produkcji najtańszych gatunków pończoch. Dziś robi się tu wyłącznie rajstopy z syntetycznych włókien. Ale nie to stało się powodem zainteresowania się „Wolą". Pończosznictwo narodziło się w Aleksandrowie. „Wola" zaczęła znacznie później, w powojennych latach. Zainteresowali mnie ludzie z „Woli", o których mówi się ostatnio coraz więcej, o ich zmyśle organizacyjnym, o inicjatywach, o nieschematycznym, gospodarskim sposobie myślenia.

Dalszy ciąg na str. 6

PIOTR SŁOWIKOWSKI

TEATR 30 MILIONÓW

Czytaj na str. 7

25 LAT RWPG

Przed 25 laty — 25 stycznia 1949 roku — podjęto w Moskwie decyzję o powołaniu do życia **RADY WZAJEMNEJ POMOCY GOSPODARCZEJ.** Był to czas, kiedy świat ogarnęła zimna wojna, kiedy kraje obozu socjalistycznego zdane były tylko na siebie, kiedy zamierał handel międzynarodowy. Wtedy dzięki wzajemnej pomocy, a przede wszystkim dzięki pomocy Związku Radzieckiego można było rozwiązywać wiele problemów gospodarczych.

U podstaw RWPG legła wspólnota ideologiczna krajów obozu socjalistycznego, wspólnota celów i dążeń. Jedność krajów socjalistycznych hamowała imperialistyczne zapędy obozu kapitalistycznego, pomagała przezwyciężać wewnętrzne trudności obozu socjalistycznego, umacniała siłę tego obozu. I choć w dziejach RWPG były różne okresy, to wkład tej organizacji w rozwój naszych krajów jest bezsprzeczny.

Dziś kraje RWPG zajmują 18,5 proc. powierzchni lądów świata, na której mieszka 9,8 proc. ludności globu. Dajemy razem 33 proc. światowej produkcji. Dajemy 27 proc. światowej produkcji węgla kamiennego, 21 proc. — energii elektrycznej, 28 proc. — stali, 24 proc. — energii elektrycznej, 28 proc. — zbóż, 18 proc. — mięsa i 29 proc. — mleka.

W ramach krajów RWPG dokonaliśmy podziału produkcji, wykorzystując narodowe tradycje i specjalności. Taki podział pozwala koncentrować nakłady na rozwijanie wybranych dziedzin, w których istnieje gwarancja osiągnięcia światowego poziomu lub w których osiągnięto już ten poziom i teraz chodzi o jego utrzymanie. Specjalności te można też rozwijać dzięki finansowej pomocy RWPG. Na przykład w Praszce w województwie łódzkim powstaje fabryka „Polmo" budowana z funduszów Międzynarodowego Banku Inwestycyjnego. W łódzkich instytutach naukowych prowadzi się specjalistyczne badania dla potrzeb wszystkich krajów RWPG. Badania takie prowadzi między innymi Instytut Włókiennictwa w Łodzi.

Kraje RWPG dysponują wieloma międzynarodowymi organizacjami gospodarczymi. Należy do nich Międzynarodowy Bank Współpracy Gospodarczej, a także organizacje zajmujące się koordynacją międzynarodowej współpracy produkcyjnej: **„Interatomenergo"** — do produkcji urządzeń dla elektrowni atomowych, **„Intertekstilmasz"** — do produkcji maszyn tkackich i urządzeń pomocniczych, **„Intereletro"** — do produkcji urządzeń dla przemysłu elektrotechnicznego. Poza tym: **„Intermetal", „Intechim", „Organizacja Współpracy Przemysłów Łożyskowych".**

Podstawą dla rozwijania dalszej współpracy w ramach RWPG stał się uchwalony w 1971 roku **Kompleksowy program socjalistycznej integracji gospodarczej.** Otwiera on nowy etap międzynarodowej współpracy gospodarczej krajów socjalistycznych.

Po Plenum KW PZPR

PRZYSPIESZANIE

Na poprzednim plenarnym posiedzeniu Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Łodzi rozważano zadania i warunki intensyfikacji rolnictwa. Na ostatnim — zadania i warunki zwiększenia produkcji przemysłowej w ostatnich dwu latach bieżącej pięciolatki.

W tym roku produkcja przemysłowa województwa łódzkiego ma wzrosnąć o 14 proc. i ma to być produkcja sprzedana, a nie złożona w magazynie. Przy czym wzrost produkcji ma nastąpić przede wszystkim dzięki wzrostowi wydajności pracy, który ma w 76 procentach decydować o zwiększeniu produkcji. Zużycie surowców i materiałów ma w tym roku być o 1,6 proc. mniejsze niż w roku ubiegłym. Zakłada się przy tym, że tempo przyrostu produkcji w przemyśle województwa łódzkiego będzie też utrzymane w 1975 roku, przy dalszym zwiększaniu wydajności pracy, której udział w przyroście produkcji powinien wynosić 80 proc.

Przytoczone powyżej wartości określają warunki postępu. Wypada dodać do tego, że tylko w tych dwóch najbliższych latach przemysł województwa łódzkiego chce osiągnąć co najmniej 17 proc. wzrostu produkcji i sprzedaży artykułów przeznaczonych na rynek krajowy i co najmniej 20 proc. wzrostu eksportu. A zatem zadanie: produkować więcej nie może w żadnym wypadku oznaczać, że będzie się produkować gorzej. Przeciwnie. Najwyższa instancja wojewódzkiej organizacji partyjnej postawiła jednoznaczne zadanie: produkować więcej i lepiej!

W dyskusji, podczas obrad KW PZPR w Łodzi, wiele uwagi poświęcono sprawom rezerw produkcyjnych, które można z pożytkiem wykorzystać dla dobra narodowej gospodarki przez pełniejsze i racjonalne gospodarowanie maszynami, czasem pracy ludzi i przez stałe doskonalenie organizacji pracy. Ale największą rezerwą gospodarki, największym bogactwem są ludzkie umiejętności, jest inicjatywa ludzi pracy.

„Problemy racjonalnego wykorzystania kadr, ciągłego podnoszenia kwalifikacji, przygotowania ludzi do obsługi skomplikowanych maszyn i urządzeń — powiedział w referacie I sekretarz KW PZPR, Zbigniew Zieliński — **powinny stanowić jeden z głównych punktów zainteresowania organizacji partyjnych w przemyśle w ścisłym współdziałaniu ze związkami zawodowymi, Związkiem Młodzieży Socjalistycznej, organizacjami naukowo-technicznymi."**

Jeśli zamierzone tempo przyrostu produkcji ma być utrzymane, jeśli rynek ma otrzymywać coraz to lepsze i nowocześniejsze wyroby, to trzeba przede wszystkim usunąć te wszystkie zjawiska ujemne, które hamują postęp. W zakładach przemysłu maszynowego województwa łódzkiego problemem nr 1 staje się należyte wykorzystanie czasu pracy. Miarą zjawiska jest wzrost o 24 proc. absencji nie usprawiedliwionej, o 13 proc. — spóźnień, o 20 proc. — godzin nadliczbowych (!).

Innym niebezpiecznym zjawiskiem jest hołdowanie przeciętności, równanie do średniej, a nie dążenie do jej przekraczania. Jak to stwierdzono w czasie obrad KW PZPR w Łodzi, obecnie — w warunkach wydłużania kroku — jest to czynnik hamujący. I również zadaniem organizacji partyjnych jest przeciwstawianie się takim tendencjom.

Organizacje partyjne — mówiono w czasie obrad plenarnych wojewódzkiej instancji partyjnej — powinny też więcej uwagi poświęcać właściwemu wykorzystaniu ludzi, ich umiejętności, kwalifikacji, doświadczenia.

„Ludzi wyróżniających się twórczym niepokojem — mówił I sekretarz KW PZPR, Z. Zieliński — **i dążeniem do równania do najlepszych należy przesuwać na bardziej odpowiedzialne stanowiska, gdzie mogą być wykorzystane cechy ich osobowości i zaangażowania. Przesiąkniętych rutyną, hołdujących przeciętniactwu, powinno się przenosić od mniej odpowiedzialnej pracy. Najważniejszym kryterium wartości człowieka w naszej partyjnej ocenie będą zawsze zaangażowanie i efekty jego pracy."**

Uczestniczący w obradach Plenum KW PZPR w Łodzi członek Biura Politycznego, sekretarz KC partii — **Jan Szydlak** w swoim przemówieniu główny nacisk położył na problemy realizacji uchwał XII Plenum KC PZPR. Stwierdził on, że o powodzeniu programu społecznego partii, przyjętego na XII Plenum KC decydować będzie sprawne i dobre zaopatrzenie rynku, a to znów zależeć będzie od pracy przemysłu. Partii chodzi o realny wzrost dochodów ludności, a wiąże się to ze stałym dopływem na rynek towarów wysokiej jakości, poszukiwanych.

Duże znaczenie w zaopatrzeniu rynku — mówił J. Szydlak — ma przemysł województwa łódzkiego, który w znacznej mierze produkuje na potrzeby rynku. Znajdują się tu przecież fabryki przemysłu włókienniczego, dziewiarskiego, pończoszniczego, spożywczego, fabryki produkujące meble. W tych właśnie fabrykach trzeba intensywnie szukać rezerw, wykorzystywać je dla lepszego zaopatrzenia rynku w poszukiwane towary.

J. Szydlak z dużym uznaniem wyraził się o inicjatywach organizacji partyjnej Ziemi Łódzkiej, która systematycznie zmierza do pełniejszego wykorzystania potencjału produkcyjnego regionu, stwarzając sobie coraz to ambitniejsze zadania.

Obrady zamknął I sekretarz KW — **Z. Zieliński,** zapewniając, że wojewódzka organizacja partyjna swoją działalnością będzie stale dążyła do tworzenia warunków sprawnej realizacji zaleceń I Krajowej Konferencji Partyjnej, a tym samym i uchwał VI Zjazdu partii.

Uczestnicy obrad mogli obejrzeć interesującą wystawę nowości przemysłu Ziemi Łódzkiej.

(M. R.)

POMYŚLNOŚCI!

Wynalazek telewizji ożywił kosmpolityczne nadzieje na integrację narodów i kultur w skali całego świata. Nowy środek masowego przekazu i oddziaływania miał stworzyć wspólną dla wszystkich cywilizacji kuli ziemskiej płaszczyznę porozumienia ponad granicami państw i kontynentów. Świat — wg logicznych skądinąd mniemań futurologów kultury — winien przekształcić się w „wielką wieś", która żyłaby rytmem tych samych zdarzeń, tych samych przeżyć i problemów. Mały ekran, ten wielki fetysz naszej cywilizacji stanowiłby wtedy wspólne miejsce porozumienia afrykańskiego Zulusa z businessmanem z Chicago, Indianina znad Orinoko z leningradzkim fizykiem. TV jest dzieckiem techniki, która już przygotowała telewizję satelitarną. Jej możliwości emisyjne pozwolą niebawem ucieleśniać utopijne marzenia fantastów. Wydaje się jednak, że podstawowy warunek spełnienia tej możliwości leży poza techniką.

Istnieją w historii świata „od założenia telewizji" wydarzenia, które jednoczyły ludzkość we wspólnym przeżyciu przed ekranami telewizorów. Takim zbiorowym doświadczeniem była transmisja z lądowania ludzi na Księżycu i w — nieco skromniejszym zakresie — igrzyska olimpijskie. Jednakże fakty o podobnie uniwersalnym wymiarze zdarzają się niezwykle rzadko, podczas gdy tv musi żyć codziennością, którą zagarnia z najbliższego otoczenia. Wbrew zatem kosmopolitycznym ambicjom staje się ona instrumentem wewnątrznarodowego działania społecznego, ma charakter lokalny, ba, nawet regionalny. Telewizor podobnie jak codzienna gazeta pokazuje życie okolicy, jest jego informacyjno-kulturowym skrótem, stanowi okno wystawowe jego specyfiki.

Te dość w końcu oczywiste skojarzenia towarzyszą bliższemu przyjrzeniu się programowi działania **Łódzkiego Ośrodka TV w roku 1974.** Program ten przedstawiony kilka dni temu przez kierownictwo ŁOT, na tradycyjnej z takiej okazji konferencji prasowej, kieruje naszą ogólną refleksję na teren konkretny i bliski, pełen rodzajowych realiów, chciałoby się rzec — podwórkowy. Trudno recenzentowi pełnić rolę prasowego konferansjera, zapowiadać repertuar i reklamować jego uczciwe intencje, a jednocześnie proponować polemiczną ripostę. Recenzenckim zadaniem jest ocena rezultatów, a nie zamiarów, które zdają się tworzyć kształt amorficzny, sprzęgnięty — jak w tym wypadku — jedynie okolicznościowym celem. Trudno zatem wyrokować o jego logice wewnętrznej, która objawi się (albo i nie) za rok. Nie sposób jednocześnie nawet wtedy oczekiwać pełnej harmonii i do końca celowej kompozycji redakcyjnej, bowiem walorem organicznym tv jest właśnie rozmaitość i różnorodność, apelowanie do różnych poziomów odbiorczych. Tutaj zarzutem jest właśnie monotematyczność i przesadna tendencyjność, które są głównymi wrogami atrakcyjności programu. One stają się podstawowymi kryteriami oceny założeń programowych. Natomiast wyrokowanie o ich realizacji zależy przede wszystkim od jakości wykonania. W tej ważnej materii można żywić jedynie ciągle aktualną nadzieję na poprawę. Jesteśmy bowiem mniej lub bardziej wiernymi widzami programu ŁOT i swoje wiemy... Ponieważ jednak, zgodnie z tradycją, witamy każdy Nowy Rok w nastroju radosnym, należy zatem — sine ira et studio — skomentować programowe plany naszej telewizyjnej prowincji.

Ich pryncypia zostały sformułowane wprost i następująco: w swoim generalnym kierunku działania łódzka telewizja włączy się w jubileuszowy charakter obchodów XXX-lecia PRL. Program ten znajdzie swoją konkretyzację w trzech wymiarach: teraźniejszości, przeszłości i przyszłości. Podstawowym zadaniem miejscowej publicystyki telewizyjnej będzie zatem ukazanie miejsca miasta na gospodarczej, społecznej i kulturalnej mapie Polski, prezentacja osiągnięć mijającego XXX-lecia w Łodzi i jej regionu oraz ilustracja zamierzeń przyspieszonego rozwoju miasta i województwa.

Z audycji emitowanych na antenie ogólnopolskiej, do których przywiązuje się szczególną uwagę wymienimy cykliczną **„Trybunę osiedla"** poświęconą problemom nowej urbanizacji i rozwojowi poczucia samorządności wśród jej mieszkańców, a także cykl **„Załoga"**, projektowaną trybunę załóg wielkich wyróżniających się fabryk, czy wreszcie „spécialités de la maison" — **„Polski Film Popularno-Naukowy"**, przedstawiający głównie sukcesy **WFO** oraz wizyty w **Wojskowej Akademii Medycznej** i **Politechnice Łódzkiej.**

Charakter lokalny będzie miał kontynuowany program **„Raportu ciąg dalszy"** poświęcony modernizacji i rekonstrukcji Łodzi oraz dwa comiesięczne magazyny: **„W środku Polski"** (tematyka regionalna) i **„Nauka i kamera"** (problematyka związków środowiska naukowego z miastem i województwem).

Wśród inicjatyw publicystyki kulturalnej należy wyróżnić **„Słownik Sztuki Współczesnej"**, — zamierzony we współpracy z Muzeum Sztuki cykl popularyzujący historię i teorię plastyki. Programy dziennikarskie będą podporządkowane generalnemu postulatowi większego zacieśnienia kontaktów z różnymi środowiskami społecznymi.

Redakcja programów teatralnych przygotowuje repertuar złożony wyłącznie z pozycji współczesnych. Będzie to zatem ambitna próba zmierzenia się z literaturą o wartości jeszcze nie ustalonej w porównaniu z częstymi na szklanym ekranie adaptacjami klasyki. Doceniając jednakże ambicje, nie sposób przestrzec przed artystycznymi konsekwencjami tej propozycji: niezbędna jest umiejętna adaptacja, bezbłędne aktorstwo i perfekcja reżyserii, które wiarygodnie uniosą tekst bez sprawdzonego w tradycji autorytetu. Wśród zapowiedzianych tytułów przeważają utwory pisarzy polskich (m. in. dokonana przez **Wandę Karczewską** adaptacja jej własnej powieści **„Głębokie źródła"** i **Konrada Frejdlicha** adaptacja prozy **Jerzego Wawrzaka „Węże groty")** oraz twórców radzieckich, węgierskich, czeskich i bułgarskich.

Równie bogato przedstawiają się plany muzyczne łódzkiej telewizji. I tu również popularyzacja twórczości polskiej będzie dominującym akcentem repertuaru. Tytułem przykładu wymieńmy kilka oper: **Karola Kurpińskiego „Czaromysł"** i **„Zamek na Czorsztynie", Zygmunta Noskowskiego „Miłość i nadzieja", „Wieczornice"** czy **„Kynolog w rozterce" Henryka Czyża.** Tradycję łódzkiej sceny telewizyjnej stanowią wodewilowe prezentacje folkloru robotniczego. Obok ich powtórzeń znajdziemy nowy program przygotowany z myślą o XXX-leciu **„Śpiewy robotników polskich".** Dużym wydarzeniem wśród melomanów winien stać się organizowany przez ŁOTV **Ogólnopolski Konkurs Filharmonii i Orkiestr Symfonicznych** z udziałem łódzkiej Filharmonii.

I wreszcie: pięta Achillesa naszej telewizji, a jej łódzkiego wydania w szczególności czyli **programy rozrywkowe.** Jednakże temat to osobny i bardzo wdzięczny, który zostawiamy sobie na później i tutaj tylko sygnalizujemy niektóre jego przyszłe konkrety: **„Porachunki małżeńskie" „Ballady Janusza Słowikowskiego", „Piosenki trzydziestolecia",** czy dobrze znaną już telewidzom rewię **„Dobry wieczór — tu Łódź".**

Życzymy zatem realizatorom z Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego, aby pamiętali, iż efekt ich działalności jest bardzo istotnym portretem miasta tworzonym dla całej Polski, który buduje w świadomości polskiego społeczeństwa sugestywne wyobrażenia o życiu Łodzi i jej kulturze.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

P.S. W telewizji łódzkiej w roku 1974 Grzegorz Królikiewicz przygotowuje pierwszy odcinek barwnego serialu (całość pięć 1-godzinnych odcinków) według „Gargantui i Pantagruela" Francois Rabelais.

NOTY i OPINIE

GUS PODSUMOWAŁ wyniki naszej pracy w ubiegłym roku i opublikował doroczny komunikat. Jak wynika z danych GUS w 1973 roku dochód narodowy wzrósł w porównaniu do roku 1972 r. około 10 proc., a planowano, że wzrośnie o 7,9 proc.

Dane statystyczne nie są ulubioną lekturą obywateli naszego kraju, a szkoda. Czytając komunikat GUS można wiele dowiedzieć się o tym, jak pracowaliśmy i co zrobiliśmy w 1973 roku.

I tak w ubiegłym roku energii elektrycznej wytworzyliśmy o 10,2 proc. więcej niż w 1972 roku, węgla kamiennego wydobyto o 3,9 proc. stali — 4,3 proc. więcej.

Maszyn i narzędzi rolniczych wyprodukowaliśmy o 19,5 proc. więcej, odbiorników radiowych — o 17,1 proc., telewizyjnych — o 9 proc., magnetofonów — o 37,3 proc. lodówek domowych — o 14 proc., mebli — o 18,1 proc. dzianin tkaninopodobnych — o 626,2 proc.

Wartość produkcji rolnej wzrosła o 7,8 proc., w tym produkcja roślinna — o 6,4 proc., a zwierzęca — o 9,3 proc.

JAKĄ BĘDZIE NASZA KINEMATOGRAFIA? Na to pytanie Romualdzie Załuskiej z PAP udzielił odpowiedzi wiceminister kultury i sztuki — **M. WOJTCZAK.** Powiedział on między innymi:

„— Przede wszystkim — współczesność. Oczywiście, rozumiana szeroko, a więc obejmująca historię ogromnych przemian, które przeistoczyły nasz kraj, dzieje przeobrażeń socjalistycznych — obraz lat ostatnich."

Wiceminister M. Wojtczak przypomniał też, że:

„...film polski odnosił sukcesy wówczas, gdy nie stronił od najważniejszych i najtrudniejszych polskich spraw."

KATOWICKI DWUTYGODNIK „POGLĄDY" przyznał „Plakietki „Poglądów" — 73" ludziom, którzy zaraz po wojnie byli organizatorami życia kulturalnego na Śląsku. Za ubiegły rok plakietki takie otrzymali:

— RAFAŁ POMORSKI — organizator życia plastycznego na Śląsku, organizator katowickiej ASP i kierownik katedry w tej uczelni,

— BOLESŁAW SZABLEWSKI — kompozytor i pedagog były kierownik katedry kompozycji w PWSM w Katowicach, laureat wielu odznaczeń państwowych i artystycznych, w tym nagrody muzycznej Katowic,

— WOJCIECH ŻUKROWSKI — pisarz, był współpracownikiem wielu pism katowickich, jako poseł na Sejm PRL reprezentuje Śląsk,

— PLENUM WOJEWÓDZKIEGO KOMITETU ZSL w Łodzi podjęło decyzję w sprawie zwołania XI wojewódzkiego zjazdu ZSL. Odbędzie się on 28 lutego 1973 roku.

— W TYGODNIKU „PRZYJAŹŃ" opublikowano ogłoszenie:

„Antoni Młynarczyk, zamieszkały obecnie pod Uralem w miejscowości Orenburg, poszukuje zaginionej rodziny w Polsce."

Ogłoszenie to przeczytała bratowa emerytowanego profesora Jana Młynarczyka z Sopotu. Zawiadomiła go o tym listownie, gdyż sama mieszka we Wrocławiu. Jan Młynarczyk wysłał list do brata Antoniego i oczekuje odpowiedzi. Myśli też o zorganizowaniu spotkania.

Bracia rozstali się 60 lat temu, mieszkali wówczas w kieleckiej wsi Borki. Starszy powołany do wojska nie powrócił nigdy ani do rodzinnej wsi, ani później nie dał o sobie znaku życia. Okazało się, że Antoni Młynarczyk brał udział w Rewolucji Październikowej, a obecnie mieszka pod Uralem.

Młodszy brat — Jan Młynarczyk był organizatorem oświaty na Wybrzeżu Gdańskim. Między innymi powołał do życia słynne technikum budownictwa okrętowego „Conradinum, którego był dyrektorem i wykładowcą przez 12 lat.

Dziś jest już na emeryturze i mieszka w Sopocie. Dwaj pozostali jego bracia umarli. Jan Młynarczyk nie miał nadziei na odnalezienie starszego brata Antoniego. Ten dał znać o sobie po 60 latach.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny) BOGDA MADEJ ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

HISTORIA

Zbliża się pięćdziesiąta rocznica śmierci wybitnego działacza polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego Juliana Marchlewskiego, który zmarł 22 marca 1925 r. w Bogliasco w pobliżu Nervi we Włoszech, dokąd udał się dla poratowania zdrowia. Trwają przygotowania do wydania zbioru naukowych pism J. Marchlewskiego, z których wiele nie doczekało się dotąd publikacji w języku polskim, prowadzone są intensywne badania nad różnymi aspektami jego życia i działalności. Nie chodzi tu jedynie o jubileuszowe i niejako odświętne przypomnienie dobrze znanej postaci z niedawnej przeszłości, ale o coś znacznie więcej, mianowicie o dojrzenie tych stron twórczej aktywności J. Marchlewskiego, które bądź to nie były dotąd ujawnione, bądź przedstawiano je w fałszywym świetle.

Fot. W. Parys

Publikacje będące wynikiem badań nad życiem i działalnością J. Marchlewskiego, już od niejakiego czasu ukazują się w druku. Ogłoszona dwa lata temu monografia **Weroniki Gostyńskiej** o stosunkach polsko-radzieckich w latach 1918—1919 rzuciła wiele nowego światła na polityczne dzieje pierwszych lat drugiej niepodległości, zwłaszcza zaś objaśniła przebieg mało dotychczas znanych tajnych rokowań polsko-radzieckich w Białowieży i Mikaszewicach w 1919 r.

Jeden z ostatnich numerów periodyku „Z Pola Walki" przyniósł informację o treści nowo odnalezionych listów J. Marchlewskiego do rodziny z lat 1905—1920. Korespondencji, która została ujawniona w okolicznościach można by rzec sensacyjnych. Mianowicie 8 grudnia 1972 r. w Zakopanem, w domu przy ul. Kamieniec 5, kapitan WP Jan Piwowarczyk zupełnie przypadkowo wydobył spod belki remontowanego właśnie strychu paczkę papierów, które okazały się być listami rewolucjonisty, ukrytymi w domu Władysława Orkana w połowie lat dwudziestych. Szerokim wreszcie echem odbił się opublikowany w zeszłym roku wybór artykułów i listów J. Marchlewskiego, dokonany przez **Z. Marchlewską, E. Michnowską i N. Michtę**, poprzedzony przedmową M. Michty i opatrzony tytułem **„Ludzie, czasy, idee"** (KiW 1973). Przyniósł on kilka tekstów nie publikowanych dotychczas po polsku i parę zgoła nie znanych. **Norbert Michta**, który poprzedził to wydawnictwo obszerną przedmową, od wielu lat zajmuje się życiem i działalnością J. Marchlewskiego. W najbliższym czasie ukaże się na półkach księgarskich jego książka o polskim rewolucjoniście. Nie jest zaskoczeniem, że przedmowa do wyboru pism przyniosła nowy pogląd na tę postać, oparty o pogłębioną znajomość działalności i spuścizny J. Marchlewskiego, a jednocześnie rzuciła snop światła na ważne problemy dziejów polskiego ruchu rewolucyjnego pod koniec XIX i w początkach XX stulecia. Oprócz korektur natury biograficznej i innych, uczonemu udało się tu zwrócić uwagę na stanowisko J. Marchlewskiego wobec najpoważniejszej bodaj kontrowersji, jaka istniała w polskim ruchu robotniczym, co najmniej od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, mianowicie sporu wokół problemu niepodległości Polski, który tak silnie zaważył na rozbiciu ruchu rewolucyjnego na dwa nurty.

Do niedawna sądzono — jak czynił to między innymi autor przedmowy do opublikowanego w 1952 r. pierwszego tomu **„Pism Wybranych"** — stanowisko J. Marchlewskiego w tej sprawie pozostawało w zgodzie z tym, które reprezentowała grupa działaczy SDKPiL z Różą Luksemburg na czele. Powiadano więc o **„błędnym stanowisku Marchlewskiego, podobnie jak i innych przywódców"** w kwestii narodowej. Tymczasem po dokładniejszym zbadaniu sprawy okazało się, i tego właśnie dowodzi N. Michta, że **stanowisko J. Marchlewskiego znacznie różniło się od postawy R. Luksemburg i w dodatku nie był on odosobniony wśród ówczesnych działaczy polskiej socjaldemokracji.** Różnica zapatrywań dwóch wybitnych przywódców ruchu robotniczego wystąpiła bardzo wyraźnie w ich publicystyce.

Tak więc, kiedy w 1898 r., w związku z obchodami setnej rocznicy urodzin A. Mickiewicza R. Luksemburg pisała o wielkim poecie, jako o bardzie miłości ojczyzny i narodowej przeszłości i demokracie, nie omieszkając jednak nazwać go jednocześnie **„największym piewcą szlacheckiego nacjonalizmu"** i uznać „Pana Tadeusza" za ostatni wielki pomnik „polskiego nacjonalizmu", **J. Marchlewski widział w poecie nie tylko największego polskiego narodowego twórcę, lecz prekursora idei socjalistycznych, który na łamach „Trybuny Ludów" uczył idei socjalizmu i zasad suwerenności narodów.** W jednym z jego artykułów czytamy:

„Należy uznać prawo narodu do samostanowienia i wyboru własnego rządu".

J. Marchlewski był wraz z **Cezaryną Wojnarowską i Stanisławem Zalewskim** (Trusiewiczem) inspiratorem zjazdu działaczy socjaldemokratycznych z Polski i Litwy, który odbył się w lutym 1900 roku w Lipsku i on to zaważył — jak tego dowodzi N. Michta — że **„wszyscy zgodzili się ze stanowiskiem jednego z towarzyszy, że niepodległość Polski, o ile to będzie z korzyścią dla proletariatu polskiego, może być uzyskana po konstytucji, jednak przed urzeczywistnieniem ideałów socjalistycznych; stawiając konstytucję jako tymczasowy program polityczny, nie wyrzekamy się niepodległości Polski". Słowa te, zaczerpnięte z protokołu zjazdu, świadczą o odcieciu się od stanowiska przyjętego na I Zjeździe SDKP** w 1894 r. — kiedy to **„hasło niepodległości Polski uznano za utopijne i niemożliwe do zrealizowania".**

Był J. Marchlewski jednym z tych działaczy, którzy nie podzielali teorii o **„organicznym wcieleniu"** ziem polskich do organizmu państw zaborczych, stanowiącej teoretyczną przesłankę uznania hasła niepodległości za bezzasadne w ruchu socjaldemokratycznym, a rozwijanej przez R. Luksemburg. Należał do sporej grupy rewolucjonistów, w której oprócz niego znajdowali się także m.in. **B. Wesołowski, C. Wojnarowska, S. Trusiewicz**, których stanowisko w sprawie niepodległości znacznie różniło się od tego, które zajmowali R. Luksemburg, L. Jochiges—Tyszka, G. Ettinger —Dalski i inni. Wystąpiło to szczególnie wyraźnie wówczas, kiedy w kwestii samostanowienia narodów, w tym również narodu polskiego, wypowiedziała się w 1903 r. leninowska „Iskra".

W.I. Lenin ze szczególną mocą podkreślał, że rosyjska socjaldemokracja **„wysuwa w swoim programie uznanie prawa narodów do samookreślenia"** i że **„program ten bynajmniej nie wyklucza tego, by polski proletariat wysunął jako swoje hasło wolną i niepodległą republikę polską, chociażby nawet prawdopodobieństwo urzeczywistnienia tego przed zwycięstwem socjalizmu było zupełnie znikome".**

„Artykuł Lenina — pisze N. Michta — **spotkał się z wyraźnie nieprzychylną reakcją ze strony R. Luksemburg i L. Tyszki, z aprobatą natomiast przyjęła go część działaczy SDKPiL, jak również PPS".** Podczas obrad IV Zjazdu SDKPiL w 1903 r. gdy L. Tyszka i A. Warski opowiedzieli się za rezolucją, napisaną przez R. Luksemburg i uzyskali dla niej poparcie większości delegatów, J. Marchlewski, C. Wojnarowska i W. Matuszewski znaleźli się w opozycji, nie chcąc zgodzić się ze stanowiskiem, które miało się odtąd stać przedmiotem długotrwałych rozbieżności zwłaszcza między **„zagranicznym ośrodkiem kierowniczym SDKPiL a Leninem".**

J. Marchlewski i myśląca podobnie jak on grupa działaczy nie godzili się z zarzucaniem Leninowi pozostawienia carte blanche dla nacjonalistycznego programu państwowej odbudowy Polski, nie zgadzała się z wyłączeniem z programu socjaldemokratycznego prawa narodów do samostanowienia o swoim losie. Jak wiadomo na II Zjeździe SDPRR w 1903 r. delegacji SDKPiL A. Warski i J. Fürstenberg-Hanecki domagali się usunięcia z programu rosyjskiej socjaldemokracji punktu siódmego, który mówił o tych sprawach, nie doczekawszy się jednak żądanej zmiany manifestacyjnie opuścili zjazd. Stanowisko to spotkało się z niezadowoleniem niektórych polskich towarzyszy, między innymi C. Wojnarowskiej, która napiętnowała je jako czyn zmierzający do podważenia zaufania działaczy rosyjskich do przywódców SDKPiL. W liście do Komitetu Zagranicznego SDKPiL z 3 września 1903 r. stwierdzała ona:

„Narzuciliście partii poglądy, które poglądami jej dotąd nie były".

„Opozycja w kierownictwie zagranicznym SDKPiL przeciwko stanowisku R. Luksemburg — powiada dzisiaj historyk — nie miała szans powodzenia. Luksemburg i Tyszka stanowili zwarty duet, wspierany przez Warskiego. Marchlewski, obawiając się rozłamu w partii, zajmował stanowisko pojednawcze. W tej sytuacji, po trzech latach ofiarnej działalności, Wojnarowska zrzekła się przedstawicielstwa SDKPiL w Międzynarodowym Biurze Socjalistycznym, nadal jednak utrzymywała korespondencję z niektórymi działaczami SDKPiL, m.in. właśnie z Marchlewskim, broniąc swoich poglądów".

Tymczasem Marchlewski w swej obfitej działalności publicystycznej, zajmując się w szczególności niemieckim uciskiem społecznym i narodowym na ziemiach polskich, podkreślał żywotność tradycji narodowych wśród ludu Śląska i Wielkopolski, a rozważając związki walki narodowościowej ze stosunkami społeczno-ekonomicznymi podejmował dyskusję z teorią **„organicznego wcielenia"** akcentując, że pomimo rozszarpania ziem polskich przez obce organizmy państwowe, stanowią one jedność, mają wspólne interesy ekonomiczne i społeczne. Oceniając wydarzenia rewolucyjnego 1905 r. na ziemiach polskich traktował je nie tylko jako walkę o charakterze klasowym, ale jednocześnie akcentował jej aspekty narodowowyzwoleńcze. W lutym 1905 r. pisał wprost, że **„proletariat, walcząc o własne wyzwolenie społeczne i polityczne, doprowadzi do zwycięskiego końca także walkę o zrzucenie jarzma ucisku narodowego".** Słowa te są bardzo wymowne: świadczą one, że J. Marchlewski lepiej niż wielu współczesnych mu działaczy polskiego ruchu robotniczego bardziej przewidująco oceniał perspektywy roli proletariatu w walce o wyzwolenie społeczne i narodowe. W roku następnym w broszurze **„Duma carska i bezprawie wyborcze"** J. Marchlewski pisał:

„Interes narodu polskiego, to interes ludu roboczego, który stanowi olbrzymią większość narodu. Ten lud roboczy ojczyznę swą kocha, o swe interesy narodowe dba, on staje w obronie ojczystego języka, żąda praw samorządu dla Polski, żąda i zdobędzie samorząd".

Dla J. Marchlewskiego jednak, podobnie jak dla W.I. Lenina, sprawa nie kończyła się na samorządzie w ramach systemu politycznego państw zaborczych.

W styczniu 1919 r., w okresie, kiedy J. Marchlewski był już jednym z czołowych działaczy młodego państwa radzieckiego, powiadał w artykule **„Przyszłość Polski pod względem ekonomicznym":**

„Polska jest teraz wolna od obcego jarzma i wolna pozostanie. Rosja Radziecka wyrzekła się wszelkiego ucisku narodowego i z zasady nie może iść na jakiekolwiek podboje".

Zastanawiając się zaś nad **„naturalnymi warunkami bytu narodu"** pisał:

„Obszar zamieszkiwany przez naród polski rozciąga się od Karpat na południe po dolny bieg Wisły na północy i Odry na zachodzie po Bug na wschodzie. Granice te są dość nie określone, ponieważ ludność polska na pograniczach jest przemieszana z ludnością innych narodowości — na zachodzie z niemiecką, na wschodzie z ukraińską, białoruską i litewską, na północy z niemiecką i litewską. Są w Polsce fantaści, którym marzy się odrodzenie „historycznej Polski" z XVI w., kiedy to „Rzeczpospolita" władała Litwą, Inflantami, Białorusią i Ukrainą. Rzecz jasna, marzenia te są nie tylko nierealne, ale także szkodliwe: Polska w takiej postaci byłaby rozrywana najostrzejszą walką narodową, której skutki okazałyby się fatalne dla narodu polskiego".

Rzadko który z ówczesnych polityków i myślicieli potrafiłby zdobyć się na sformułowania tak zdecydowane, a jednocześnie przewidujące.

Publikacja „Ludzie, czasy, idee", w której zebrano garść pism J. Marchlewskiego, odsłania nie znane aspekty myśli i działalności polskiego patrioty i internacjonalisty. Daje świadectwo jak wiele ważkich i aktualnych treści kryje się w tradycji naszego ruchu rewolucyjnego, jeśli będziemy potrafili spojrzeć na nią szerzej, jeśli zdobędziemy się na odrzucenie upraszczających schematów. I wówczas okaże się ona bardziej żywą, dobitniej też uwidocznią się jej relacje z naszą dzisiejszą współczesnością.

FELIKS KRZEWIAK

DWA STANOWISKA W SPRAWIE POLSKI

ANDRZEJ W. MIKOŁAJEWSKI

GDZIE JEST REKLAMA?

W latach 1955—1970 istniało **Przedsiębiorstwo Usług Reklamowych „REKLAMA".** Było to przedsiębiorstwo mające swój zarząd w stolicy i wiele oddziałów w kraju. Aż nagle, gdy w roku 1970 „Reklama" osiągnęła produkcję i usługi wartości 400 mln zł, od 1 stycznia 1971 roku została zlikwidowana. Krajowe oddziały włączono do Przedsiębiorstw Remontowo-Montażowych Handlu Wewnętrznego. Część zadań — głównie merytorycznych — przekazano **„OPINII".**

Minister Handlu Wewnętrznego i Usług Zarządzeniem nr 29 z 16 marca 1973 roku powołał do życia przedsiębiorstwo pod nazwą: **Agencja Reklamy „REKLAMA"** z siedzibą w Warszawie. W miesiąc później, 1 kwietnia 1973 r, życie swe zaczęło **Przedsiębiorstwo Produkcji Urządzeń Reklamowych „REKLAMA"** w Katowicach. Różnica pomiędzy przedsiębiorstwem warszawskim a katowickim polega na tym, że pierwsze przyjmuje zlecenia na usługi reklamowe i zleca je innym wykonawcom, a drugie spełnia rolę prymitywnego, działającego chałupniczo producenta. Oba natomiast tworzą już oddziały w kraju. I jeden taki oddział **AR „REKLAMA"** w Warszawie powstał w Łodzi. **Gnieździ się przy ul. Żeligowskiego 22. Zatrudnia 30 pracowników. Ciasnota, atmosfera gorączkowej pracy.**

Ekipa modelek i modeli wraz z zespołem wokalno-instrumentalnym wyruszy właśnie na imprezę reklamową do Dąbrowy Zielonej za Częstochowę. Jest sobota, 15 grudnia.

Dyrektor **Zenon Majchrowicz** przyjmuje mnie w swoim skromnym gabinecie. Nie ma dla mnie czasu i namawia, abym i ja wybrał się w podróż za Częstochowę. Decyduję się jechać

NIEUDANA PODRÓŻ

„Nysa" wyładowana po brzegi: ludźmi i konfekcją. Ruszamy.

Przeglądam swój notes. Z zapisanych w nim informacji wynika, że **AR „Reklama" w Łodzi nie różni się niczym od warszawskiej. Mam nieodparte wrażenie, iż jest to** — mówiąc ironicznie — **Biuro Zleceń Zlecanych. AR „Reklama" w Łodzi nie ma własnej drukarni, kolorowe fotografie w katalogach Domu Sprzedaży Wysyłkowej wychodzą wręcz fatalnie — z winy papieru. Atelier zdjęciowe tej Agencji jest pomieszczeniem zbyt skromnym na właściwą działalność. „Reklama" w Łodzi nie jest nawet organizatorem pokazów mody. Służy jedynie modelkami i modelami.**

Notuję sobie pytania:

Czy Łódź, gdzie dominuje przemysł lekki, nie stać na przedsiębiorstwo reklamowe z prawdziwego zdarzenia?

Jakie ma to być przedsiębiorstwo? Czy takie, jakie powstało w Katowicach; działające na wewnętrznym rozrachunku gospodarczym, zajmujące się oprócz dotychczasowych specjalności, produkcją urządzeń reklamowych. Musiałaby więc powstać także w Łodzi odpowiednia baza produkcyjna i badawcza. Przedsiębiorstwo reklamowe w Łodzi winno skupiać wokół siebie grono projektantów odzieży, mających wpływ na produkcję konfekcji gotowej...

„Nysa" z PTHW przedziera się przez szereg stojących na szosie E-12 samochodów. Kierowca decyduje się przejechać przez Rzgów, skoro nie można skorzystać z prostej drogi, ale tuż za Rzgowem ponownie musimy manewrować wśród zastygłego w bezruchu szeregu samochodów ciężarowych. Co silniejsze wozy wjeżdżają na zamarzłe płaszczyzny pól, aby posuwać się po nich do przodu metr za metrem. My stoimy. Zagrodził nam drogę ciężarowy „Żubr" Niebawem robi się w „Nysie" zimno. Śnieg wspomagany wiatrem przebija się przez nie uszczelnioną szybę do wnętrza.

Dlaczego AR „Reklama" w Łodzi nie dysponuje własnym samochodem? Powinien to być przyzwoity autokar, bądź też coś mniejszego, ale z przyczepą. Tymczasem do Dąbrowy Zielonej wyruszyły dwie „Nysy" z PTHW. Dowiaduję się, że od roku 1969 trwają starania o przydział samochodu dla „Reklamy", ale jak dotąd — bez skutku.

Stoimy i marzniemy. Z Łodzi wyje-

Dalszy ciąg na str. 4

GEORGES SIMENON WIĘZIENIE

I

ROZDZIAŁ I

Ilu trzeba miesięcy, ilu lat, by dziecko przekształciło się w młodzieńca, a młodzieniec w mężczyznę? W którym momencie można stwierdzić, że to przekształcenie się dokonało?

Nie ma tu, jak w szkole, uroczystego obwieszczenia, nie ma rozdania nagród, nie ma dyplomu.

Alain Poitaud, w wieku trzydziestu dwóch lat, w ciągu zaledwie kilku godzin, może nawet kilku minut przestał był człowiekiem, którym był dotychczas, i stał się innym. Zdarzyło się to dnia 18 października. Paryż zalewały takie strugi deszczu, porywy wiatru były tak gwałtowne, że na nic się zdały wycieraczki, zacieraly tylko jeszcze bardziej światło reflektorów.

Lekko pochylony do przodu, jechał wolno wzdłuż bulwaru Corncelles, mijając po prawej stronie czarne okratowanie parku Monceau; następnie skręcił w ulicę Prony, by dotrzeć do ulicy Fortuny, na której mieszkał. Uliczka była krotka, po obu jej stronach wznosiły się bogate kamienice. Miał szczęście, bo tuż naprzeciwko swego domu znalazł miejsce do zaparkowania wozu. Zatrzasnąwszy drzwiczki, odruchowo podniósł głowę, by sprawdzić, czy na ostatnim piętrze pali się światło.

Było to u niego na tyle odruchem, że nie umiałby powiedzieć, czy w oknach świeciło się, czy też nie. Zresztą rzucił się już w wichurę, siekącą zimnymi strumieniami wody po twarzy i ubraniu. Pchnął kratę z matowym szkłem.

Na progu stał jakiś człowiek. Wydawało się, że chroniąc się przed deszczem wszedł tuż za nim.

— Pan Poitaud?

Oświetlenie było dyskretne, ściany pokryte boazeriami.

— Tak, to ja — zdziwił się.

Człowiek w ciemnym płaszczu o przeciętnej, banalnej sylwetce, wydobył z kieszeni kartę z trójkolorowym paskiem.

— Inspektor Noble z Wydziału Śledczego.

Alain przyjrzał mu się uważniej, ciekawy, ale niezbyt zdziwiony. Przyzwyczaił się do kontaktów z najrozmaitszymi ludźmi.

— Czy mógłbym wstąpić do pana na chwilę?

— Długo pan na mnie czeka?

— Jakąś godzinkę.

— Dlaczego nie przyszedł pan do mnie do redakcji?

Inspektor był młody, raczej nieśmiały, albo zakłopotany. Nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się i obaj mężczyźni ruszyli w kierunku dużej windy starego typu o ścianach wykładanych karmazynowym welurem.

Stojąc w windzie wolno sunącej w górę, patrzyli na siebie w milczeniu, pogrążeni w łagodnym świetle padającym z kryształowego sufitu. Alain Poitaud dwukrotnie otwierał usta, by zapytać, o co chodzi. Wolał jednak odczekać, aż znajdzie się u siebie.

Winda zatrzymała się na czwartym, ostatnim piętrze. Alain przekręcił klucz w zamku, pchnął drzwi, zaskoczony, że w mieszkaniu jest ciemno.

— Żona jeszcze nie wróciła — rzucił, machinalnie wyciągając rękę w stronę kontaktu.

Krople wody kapały z płaszczów na bladoniebieski pluszowy dywanik.

— Może zdejmie pan płaszcz.

— Nie warto.

Spojrzał zdziwiony. Gość czekał na niego godzinę na deszczu, na progu domu, a teraz, przewidując wizytę, nie zdejmie nawet mokrego płaszcza.

Alain pchnął podwójne drzwi, przekręcił dalsze kontakty i w ogromnym pokoju zapaliły się liczne żarówki; jedna ściana była cała oszklona; w szyby bił deszcz i spływał po szkle gęstymi strugami.

— Żona powinna już być w domu...

Rzucił okiem na zegarek na ręku, choć przed oczyma miał stary zegar, którego miedziane wahadło przesuwało się w jedną i drugą stronę z lekkim tykaniem przy każdym ruchu.

Była za kwadrans ósma.

— Zaraz idziemy na kolację w gronie przyjaciół i...

Mówił jakby do siebie. Miał zamiar rozebrał się szybko, wziąć prysznic i włożyć ciemny garnitur.

— Nie zechciałby pan usiąść?

Nie był ani zaniepokojony, ani zaintrygowany. Może trochę. Po prostu ta nieoczekiwana wizyta była mu trochę nie na rękę, przeszkadzała robić to, co zamierzał. Był też zaskoczony nieobecnością Jacqueline.

— Czy pan posiada broń, panie Poitaud?

— Chce pan powiedzieć rewolwer?

— Tak, to właśnie miałem na myśli.

— Mam w szufladzie, w nocnym stoliku.

— Czy nie zechciałby mi pan pokazać?

Inspektor mówił głosem łagodnym, niezdecydowanym. Alain podszedł do drzwi sypialni, jego towarzysz szedł za nim jak cień.

Ściany pokoju pokryte były tapetą z żółtego jedwabiu, na ogromne łóżko narzucone było futro z dzikiego kota. Meble były z białej laki.

Alain otworzył szufladę, zdziwił się, wsunął rękę głębiej pomiędzy drobiazgi.

— Nie ma go tu — mruknął.

Następnie rozejrzał się dokoła, jak gdyby chciał sobie przypomnieć, gdzie mógł położyć broń.

Dwie górne szuflady komody należały do niego, dalsze do Jacqueliny. Nikt jej nie nazywał Jacqueliną. Dla niego, tak jak dla wszystkich, był to Kocur, przydomkiem tym ochrzcił ją on sam, wiele lat wcześniej, gdyż miała wygląd małego kota. Chusteczki, koszule, bielizna...

— Kiedy widział go pan ostatni raz?

— Jestem przekonany, że dziś rano...

— Jest pan tego pewien?

Tym razem obrócił się twarzą do swego rozmówcy i obserwował go, zmarszczywszy brwi.

— Panie inspektorze... Od pięciu lat, jak tu mieszkamy, rewolwer ten leży w szufladzie w nocnym stoliku... Co wieczór, rozbierając się, kładę do tej szuflady wszystkie drobiazgi z kieszeni... Wrzucam tu klucze, portfel, papierośnicę, zapalniczkę, książeczkę czekową, drobne pieniądze... Tak się przyzwyczaiłem do widoku rewolweru na swoim miejscu, że już nie zwracam na to uwagi...

— Czy brak jego uderzyłby pana?

Zastanowił się.

— Nie przypuszczam. Niejeden raz przesuwał się w głąb szuflady...

— Kiedy pan widział się ostatni raz z żoną?

— Czy jej się coś stało?

— Nie w tym sensie, w jakim pan myśli. Czy był pan z nią dziś na obiedzie?

— Nie. Byłem w drukarni przy łamaniu pisma i jadłem kanapki na miejscu.

— A w ciągu dnia nie telefonowała do pana?

— Nie.

Przez chwilę zastanawiał się, Kocur często do niego dzwonił.

— Pan też do niej nie telefonował?

— W ciągu dnia rzadko można ją zastać w domu. Ona pracuje, pan wie? Jest dziennikarką i... Ale proszę mi powiedzieć, jaki sens mają te pytania?

— Wolałbym, żeby mój szef sam to panu wyjaśnił. Czy nie zechciałby pan towarzyszyć mi na Quai des Orfevres, tam dowie się pan o wszystkim?

— Jest pan pewien, że moja żona?...

— Nie jest ani zabita, ani ranna.

Policjant, uprzejmy, nieśmiały, skierował się ku drzwiom. Alain szedł za nim. Był zaskoczony, nie wiedział, co myśleć.

Nie zamieniwszy więcej słowa i nie korzystając z wolnej wygodnej windy, zeszli na dół po schodach pokrytych gęstym pluszowym dywanem. Okna na każdym piętrze były ozdobione różnokolorowymi witrażami, modnymi w latach 1900.

— Przypuszczam, że pańska żona ma własny samochód?

— Tak. Maleńkie auto, jak to, którym ja jeżdżę w Paryżu, a które stoi przed domem. Raczej miniwóz.

Na progu obaj zawahali się przez chwilę.

— Jak pan tu przyjechał?

— Metrem.

— Czy nie ma pan nic przeciwko temu, że pana podrzucę?

Nie opuszczała go właściwa mu ironia. Z upodobaniem posługiwał się ironią, niekiedy dość agresywną. Czy nie jest to jedyna sensowna postawa wobec głupoty życia i ludzi?

— Przepraszam. Nie ma tu miejsca, żeby dobrze rozprostować nogi.

Prowadził szybko, z nawyku. Maleńki angielski samochód był szybki i niekiedy przeskakiwał czerwone światła.

— Przepraszam pana...

— Nie szkodzi. Nie zajmuję się ruchem ulicznym.

— Wjechać w podwórze?

— Jak pan uważa.

Inspektor wychylił się przez drzwiczki, by rzucić parę słów do dwóch wartowników.

— Czy zastanę tu żonę?

— To prawdopodobne.

Po co zadawać pytania temu człowiekowi, który nic mu nie powie? Za kilka chwil znajdzie się przed komisarzem, z pewnością przed jednym z komisarzy, których zna, bo stykał się prawie ze wszystkimi.

Sam wszedł zdecydowanie na główne schody i zatrzymał się na pierwszym piętrze.

— To tutaj?

Długi, źle oświetlony korytarz był pusty, drzwi po obu stronach pozamykane. Widać było tylko starego woźnego ze srebrnym łańcuchem na szyi i ciężkim medalem na piersi. Stał przed stolikiem przykrytym zielonym suknem jak do bilardu.

— Zechce pan wejść na chwilę do poczekalni?

Z jednej strony była oszklona, jak malarskie atelier, z którego ktoś zrobił dla siebie salon. Siedziała tu tylko jakaś staruszka w czerni, która przyjrzała mu się, kiedy wchodził, małymi, kłującymi oczkami.

— Przepraszam...

Inspektor wyszedł na korytarz, zapukał do drzwi, które się za nim zamknęły. Długo nie wychodził z pokoju. Nikt też nie przychodził. Staruszka siedziała bez ruchu. Powietrze wokół nich również było nieruchome, szarawe, niby mgła.

Znowu spojrzał na zegarek. Ósma dwadzieścia. Upłynęła ledwie godzina jak opuścił biuro przy ulicy Marignan, rzuciwszy Maleskiemu:

— To na razie...

Mieli pójść razem na kolację w towarzystwie tuzina przyjaciół i przyjaciółek, do nowej restauracji przy alei Suffren.

Tutaj nie istniał ani deszcz, ani burza. Człowiek był zawieszony w przestrzeni, w czasie. Jak w każdy inny dzień. Wystarczyłoby, aby Alain wpisał tylko na formularzu swoje nazwisko, a w kilka chwil później woźny wprowadziłby go do gabinetu dyrektora Wydziału Śledczego, który wyszedłby zza biurka z wyciągniętą ręką.

Dawno minęły czasy wyczekiwania w poczekalni. Zdarzało mu się to jedynie w początkach kariery.

Rzucił okiem na staruszkę, imponowała mu jej nieruchoma poza, o mało nie spytał, jak długo tu czeka. Może już całe godziny?

Niecierpliwił się, zaczynało mu być duszno. Wstał, zapalił papierosa, zaczął chodzić tam i z powrotem, kobieta patrzyła na niego wzrokiem pełnym dezaprobaty.

Otworzył więc oszklone drzwi, przemierzył korytarz, stanął przed człowiekiem w srebrnym łańcuchu.

— Który to komisarz chce się ze mną widzieć?

— Nie wiem, proszę pana.

— O tej godzinie nie ma ich aż tylu w biurze.

— Dwóch albo trzech. Ci panowie czasem siedzą do bardzo późna. Jak się pan nazywa?

W Paryżu były setki miejsc, gdzie nie potrzebował mówić swojego nazwiska, bo go znano.

— Alain Poitaud.

— Pan żonaty, nieprawdaż?

— Jestem żonaty, tak.

— Pańska żona to drobna brunetka w nieprzemakalnym płaszczu, podbitym futrem?

— Zgadza się.

— W takim razie to zastępca komisarza Roumagne.

— Nowy?

— Och, nie! Pracuje tu od dwudziestu lat, ale dopiero niedawno przydzielono go do wydziału kryminalnego.

— Czy moja żona znajduje się w jego gabinecie?

— Nie wiem, proszę pana.

— O której godzinie przybyła?

— Nie umiem panu powiedzieć.

— Widział ją pan?

— Zdaje się, je ją widziałem.

— Przyszła tu sama?

— Przepraszam bardzo, ale i tak już za dużo powiedziałem.

Zaczął znowu chodzić, czuł się tyleż upokorzony, co niespokojny. Każą mu czekać. Traktują go jak zwykłego klienta. Po co Kocur przyszedł tu na Quai des Orfevres? Co to za historia z tym rewolwerem?

Dlaczego zniknął z szuflady? Była to broń banalna, z której każdy oprych by się uśmiał, mały kaliber 6.35, marki fabrycznej Herstal.

Nie kupił go. Był to prezent od Boba Demarie, jednego z jego współpracowników.

— Kiedy mój syn już zaczął chodzić, wolałem, żeby takie coś nie poniewierało się w mieszkaniu.

Było to co najmniej cztery lub pięć lat temu. Od tego czasu Demarie miał dwoje dalszych dzieci. Co ten Kocur?...

— Pan Poitaud?

Był to inspektor, na drugim końcu korytarza. Dawał znak, żeby się zbliżył. Alain zbliżał się do niego wydłużonym krokiem.

— Zechce pan wejść...

W gabinecie zastępcy komisarza prócz niego samego nie było nikogo. Człowiek lat czterdziestu o zmęczonym wyglądzie, podał mu rękę.

— Niech pan zdejmie płaszcz. Proszę siadać, panie Poitaud.

Inspektor nie wszedł za nim.

— Powiedziano mi, że zginął pański rewolwer.

— Nie znalazłem go na zwykłym miejscu.

— Czy to przypadkiem nie ten?

Podał mu czarny, a raczej niebieskawy browning, który Poitaud odruchowo wziął do ręki.

— Przypuszczam, że tak. To możliwe.

— Czy pański nie miał jakichś znaków szczególnych?

— Prawdę mówiąc, nigdy mu się nie przyglądałem. Nigdy też z niego nie strzelałem, nawet na wsi, dla próby.

— Pańska żona, oczywiście, wiedziała o nim?

— Z pewnością.

Nagle zadał sobie pytanie, czy to naprawdę on siedzi tu, odpowiada uniżenie na śmieszne pytania. Był przecież Alaine'em Poitaud, do diabła! Cały Paryż go znał. Wydawał jeden z najbardziej poczytnych tygodników paryskich i przygotowywał drugi. Poza tym od sześciu miesięcy produkował płyty, o których codziennie mówiono w radio.

Nie tylko nie przesiadywał w poczekalniach, ale był na ty z co najmniej czterema ministrami, do których bywał od czasu do czasu zapraszany na kolację, jeżeli oni sami nie fatygowali się do niego, na wieś.

Powinien się zbuntować, wyrwać wreszcie z tej dziwnie głupiej sytuacji.

— Może pan mi zechce wyjaśnić, co to wszystko znaczy?

Komisarz popatrzył na niego z miną zakłopotaną, zmęczoną.

— Zaraz do tego dojdziemy, panie Poitaud. Niech pan nie myśli, że mnie to bawi więcej niż pana. Miałem dziś bardzo ciężki dzień. Spieszyłem się do domu, do żony, do dzieci.

Spojrzał na zegar z czarnego marmuru wiszący nad kominkiem.

— Pan żonaty od dawna, zdaje mi się?

— Już chyba sześć lat. Nie, siedem. Nie licząc dwóch lat, kiedy byliśmy tak jakby...

— Ma pan dziecko?

— Syna.

Policjant pochylił oczy nad jego aktami.

— Ma pięć lat...

— Zgadza się.

— Nie mieszka z panem...

— To się mniej zgadza.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— W Paryżu mamy raczej pied-a-terre, bo wieczorem często wychodzimy. W piątek po południu wracamy do naszego prawdziwego mieszkania, w Saint-Illiers-la Ville, w lasku Rosny. Latem jeździmy tam prawie codziennie na noc.

— Rozumiem. Naturalnie pan kocha żonę.

— Oczywiście.

Nie mówił tego z namiętnością, z zapałem, ale tak jakby to było samo przez się zrozumiałe.

— Pan zna jej prywatne życie?

— Swoje prywatne życie dzieli ze mną. Jeżeli zaś chodzi o jej życie zawodowe...

— To właśnie miałem na myśli.

— Żona jest dziennikarką.

— Nie pisze do pańskiego tygodnika?

— Nie. To byłoby zbyt łatwe. Poza tym to nie jej rodzaj.

— Jakie są stosunki pomiędzy nią a siostrą?

Adrianną? Bardzo dobre. Przybyły do Paryża jedna po drugiej. Kocur był pierwszy...

— Kocur?

— To pieszczotliwy przydomek, jaki nadałem żonie. Moi przyjaciele, moi współpracownicy zaczęli ją w końcu nazywać tak samo. Kiedy szukała pseudonimu, pod jakim ma pisać swoje artykuły, poradziłem jej — Jacqueline Kocur. Obie z siostrą długi czas mieszkały razem w jednym pokoju na Saint-Germain-des-Pres.

— Poznał pan obie razem?

— Pierwszy raz?

— Tak.

— Nie. Kocur był sam.

— Kiedy przedstawiła pana siostrze?

— Później. W kilka miesięcy później. Jeżeli pan się orientuje, po co pan zadaje te pytania? Może już najwyższy czas, aby poinformował mnie pan, co się stało z moją żoną.

— Z pańską żoną nic.

Mówił to głosem smutnym i zmęczonym.

— A więc z kim?

— Z pańską szwagierką.

— Wypadek?

W tej samej chwili, kiedy zadawał to pytanie, wzrok jego padł na rewolwer, który leżał na biurku.

— Ona została...?

— Zabita, tak.

Alain nie śmiał już pytać przez kogo. Nigdy jeszcze nie przeżył takiego stanu osłupienia, załamania wewnętrznego. W każdym razie jego mózg nie funkcionował tak jak zwykle. Czuł, że nagle ugrzązł w świecie, który stał się chaosem, gdzie słowa nie mają już tego samego sensu, przedmioty — tego samego kształtu.

— Została zastrzelona dziś po południu, kilka minut po piątej, przez pańską żonę.

— To się nie trzyma kupy.

— A jednak to prawda.

— Na jakiej podstawie pan tak sądzi.

— Tak zeznała pańska żona. I niańka, która znajdowała się w mieszkaniu.

— A mój szwagier?

— Dyktuje w tej chwili swoje zeznanie w sąsiednim pokoju.

— Gdzie jest moja żona?

— Na górze, z tymi panami z Policji Śledczej.

— Ale dlaczego? Powiedziała panu dlaczego?

Nagle zaczerwienił się i zaczął unikać wzroku komisarza.

Ciąg dalszy nastąpi

GDZIE JEST REKLAMA?

Dalszy ciąg ze str. 3

chaliśmy przed 12, a tymczasem dochodzi 13.30 i jesteśmy niecały kilometr za Rzgowem. Nie dobrniemy do celu na wyznaczoną godzinę 16. Co więc zrobić? Potrzebne są pługi śnieżne.

Decydujemy się zawrócić i w żółwim tempie jedziemy w stronę Łodzi. Dziwię się sobie, że zdecydowałem się na tę bezsensowną wycieczkę za miejskie rogatki. I nawet gdybyśmy dobrnęli do celu, czy mógłbym powracać stamtąd zadowolony? Czyż nie widziałem już pokazów handlowych przed sklepami i wewnątrz nich, na różnych imprezach artystycznych? Widziałem.

CHYBA NIE TAK

Siedziałem sobie kiedyś w „Grandce" i miałem niezwykle dużo do powiedzenia mojej dziewczynie, aż tu nagle ktoś zaczął urządzać próby mikrofonu, ktoś nastrajał gitarę elektryczną, a ktoś jeszcze inny zapowiedział, że odbędzie się za chwilę impreza reklamowo-handlowa. Między publiczność kawiarnianą weszły modelki i modele. Wszystko to zniweczyło moje słowa, a miałem dziewczynie tak dużo do powiedzenia. I właśnie wtedy nie powinien mi był nikt przeszkadzać.

Czwartek 20 grudnia. Umówiłem się z moją dziewczyną, z tą samą co w „Grandce", w kawiarni „Agawa" na godzinę 16.30. Umówiłem się specjalnie po to, aby obejrzeć imprezę reklamowo-handlową w wykonaniu AR „Reklama" w Łodzi. Przychodzę punktualnie. W „Agawie" pustki. Wybieram wolny stolik i czekam. Przychodzi młoda kelnerka. Nie mówimy sobie dzień dobry.

— Mała kawa — zamawiam.

Po jakimś czasie znów ktoś robi próbę mikrofonu, ktoś inny nastraja gitarę, jeszcze ktoś wprawia się na perkusji...

Za chwilę, dzięki modelkom i modelom z AR „Reklamy" w Łodzi, towarzyszącemu im kwartetowi „Amanti" oraz duetowi Mirton, sklepy Łódzkiego Przedsiębiorstwa Tekstylno-Odzieżowego wypychają buble ze swych magazynów! Charakter pokazu jest czysto użytkowy. Modelki chodzą niczym kaczki, modele trochę lepiej. Konfekcja męska wydaje mi się nawet ciekawa, ale trudno powiedzieć cokolwiek o damskiej. Na szczęście przychodzi dziewczyna i nareszcie mam doradcę w sprawach damskiej konfekcji.

W trzeciej części pokazu — stroje sylwestrowe. Na zabawę w remizie strażackiej. No, cóż, AR „Reklama" dysponuje wyłącznie tym, czym dysponują sklepy LPTO.

PYTANIE

JAK WIĘC BĘDZIE Z TĄ CAŁĄ REKLAMĄ? Czy kiedykolwiek stanie się dźwignią handlu?

Dyrektorem AR „Reklama" w Łodzi jest **Zygmunt Majchrowicz.** O losach reklamy decydowano na szczeblu ministerialnym, a obowiązkiem dyrektora nie jest bynajmniej sprzeciwianie się ogólnym decyzjom. Nie zazdroszczę dyrektorowi Majchrowiczowi wysiłku, jaki wkłada i musi nadal wkładać w uzyskanie dla „Reklamy" w Łodzi właściwego pomieszczenia biurowego, na atelier fotograficzne i na magazyn. Jak wiadomo potrzebny jest także samochód.

Reklama nie jest dźwignią handlu. To jasne! I smutne. Ale może być. I powinna!

ANDRZEJ W. MIKOŁAJEWSKI

Fot. W. Parys

MAREK WAWRZKIEWICZ

CI, KTÓRZY OŻYWIAJĄ MIASTO

Dalszy ciąg ze str. 1

Wracam pamięcią do swoich licznych podróży do Związku Radzieckiego. Przypominam sobie pierwszą. Pamiętam, jaki na początku czułem się zagubiony, wyobcowany, nie mogący zrozumieć wielu spraw i rzeczy. Zostało mi z tego okresu niewiele notatek i zapisków — są to wrażenia wynikające ze spektakli teatralnych, ze zwiedzania miast, z przechadzek po galeriach — takie same jak te, które się wynosi z poznania cudzego miasta od strony witryn sklepowych, powierzchowne i mylące. I pamiętam wszystkie następne podróże, kiedy udało mi się przełamać barierę językową i zginąć w tłumie, nie wyróżniać się w nim swym zagranicznym pochodzeniem. Jest to już zupełnie inne, o wiele bardziej płodne i o wiele bardziej głębokie poznanie cudzego kraju, poznanie prawdziwe i autentyczne.

Zawsze zazdrościłem Rosjanom tej łatwości, z jaką nawiązują kontakty z nieznajomymi im ludźmi. Sądzę, że jest to w pewnym stopniu sprawa języka: w naszym istnieją słowa „pan" i „pani", które od razu budują między ludźmi barierę oficjalności. Z rosyjskiego „wy" do „ty" — droga jest bardzo bliska, a posługiwanie się imieniem i „otczestwem" również stwarza między ludźmi atmosferę familiarności. Ale są to oczywiście sprawy wynikające nie tylko z języka i zwyczajów.

Wystarczy na przykład, aby w tramwaju ktoś kogoś zapytał jak dojechać do jakiegoś punktu miasta, na którym przystanku wysiąść. Odpowiada nie tylko ten, do którego pytanie było skierowane, natychmiast do rozmowy włączają się inni — radzą, mają inne zdania, dyskutują. Pytanie staje się momentalnie kwestią publiczną — dotyczy wszystkich, bo wszyscy chcą pomóc zabłąkanemu człowiekowi.

U nas każdy pasażer autobusu czy tramwaju w trudzie i złorzeczeniach przeciska się przez warczący tłum, aby skasować bilet w automacie — tam po prostu robi to za pośrednictwem sąsiadów. I nie zdarzyło mi się widzieć, aby zostało to potraktowane niegrzecznie lub choćby ze zdziwieniem.

Wielokrotnie podróżowałem po Związku Radzieckim pociągami, w wagonach „dziennych" — to znaczy nie odgrodzonych ściankami sypialnych przedziałów. Wchodzą do tego wagonu ludzie sobie nie znani, obcy zajmują miejsca, pociąg rusza. Ale już po pół godzinie nie ma w tym wagonie ludzi sobie obcych, wszyscy ze sobą rozmawiają, żartują, świadczą sobie drobne uprzejmości, bawią się z cudzymi dziećmi, które w ogóle w Związku Radzieckim są przedmiotem wielkiego (choć, oczywiście, czasem niezasłużonego) uwielbienia.

Pewne zewnętrzne elementy tej łatwości nawiązania kontaktów są dla nas niekiedy odrobinę szokujące: ot, choćby ten przyjęty ogólnie zwyczaj, że podchodzi się na ulicy do nieznajomego i prosi o papierosa, na co nieznajomy zawsze reaguje pozytywnie i bez zdziwienia. Sam zresztą zawdzięczam temu zwyczajowi wiele. Kiedyś w Pskowie obudziłem się zbyt późno, moi współtowarzysze podróży wyjechali na kilka godzin, na wycieczkę po okolicach, ja zaś postanowiłem samotnie zwiedzić to miasto. Ale już po pół godzinie zorientowałem się, że zwiedzanie nie ma nic wspólnego z poznawaniem, że jest to tylko oglądanie — ponieważ moja wiedza o starym, pełnym zabytków mieście była dość skromna. I wtedy właśnie podszedł do mnie nieznajomy mężczyzna prosząc o papierosa. Po pięciu minutach czułem się tak, jakbym znał go od lat. Okazał się człowiekiem zakochanym w swoim mieście, pełnym wiedzy o nim, odbyliśmy długą przechadzkę, w której mi powiedział o Pskowie więcej, niż mógłby to zrobić renomowany przewodnik, wieczór zaś spędziłem u jego przyjaciół, plastyków, na oglądaniu pięknych, wzorowanych na staroruskie, rysunków i drzeworytów. W ten sposób Psków stał się niespodziewanie miastem, które jest mi w bardzo osobisty sposób bliskie, mam do niego stary sentyment i chętnie bym tam wrócił.

Publikowałem kiedyś cały cykl reportaży będących wynikiem podróży po miastach — bohaterach Związku Radzieckiego. Spotkałem w nich wielu ludzi, którzy żyją w mojej pamięci, którzy opowieściami o swoim życiu pozwolili mi zrozumieć, jak bliskie, jak podobne były losy naszych krajów, ludzi, którzy jeszcze raz uświadomili mi czym była wojna. Z wieloma z nich pozostaję i dziś w kontakcie — pisujemy do siebie, wymieniamy pocztówki z pozdrowieniami. Ale pomysł napisania takiego cyklu, którego następstwem będzie książka, był wynikiem tej łatwości nawiązywania kontaktów, charakterystycznej w stosunkach z Rosjanami. Jechałem kiedyś przez Moskwę taksówką, za kierownicą której siedziała sześćdziesięcioletnia kobieta. Mimo siwych włosów i zmęczonej twarzy Irina Andriejewna była uosobieniem dobrego humoru i energii. Śpiewała piosenkę o sercu, zagadywała, a przede wszystkim strofowała z zapałem wszystkich współużytkowników ulic — pieszych i tych za kółkiem. Zapytałem w pewnym momencie czy i w domu trzyma władzę w równie krzepkich rękach. Odpowiedziała mi, że nie, że w domu nie ma kogo rugać. Zwykłym głosem, takim, jakim się mówi o codziennych sprawach, opowiedziała mi o rodzicach, czterech braciach i siostrze i o mężu — o całej swojej rodzinie, która zginęła w czasie wojny. A ona już nie chciała zakładać nowej rodziny, czekała, wierzyła, że ktoś z nich musi przecież wrócić. Przypomniałem sobie wtedy piosenkę o kobietach, które czekają na swoich bliskich już trzydzieści lat, o Jarosławnach ostatniej wojny i pomyślałem, że warto napisać książkę o bezimiennym bohaterstwie zwykłych ludzi — tak zwykłych i skromnych że nie wiedzących nawet o tym, że ich życie zasługuje na nazwę bohaterskiego. A Irinę Andriejewną odwiedzam zawsze, kiedy jestem w Moskwie, przywożę jej drobne podarki, a ona ugaszcza mnie po królewsku i mówi do mnie „synku".

Istnieją przyjaźnie ludzi o podobnych zainteresowaniach, tych samych profesjach, przyjaźnie z lat dziecinnych, z młodości. Ale można się przyjaźnić inaczej. Można się przyjaźnić z człowiekiem tylko dlatego, że jest on człowiekiem. Tylko dlatego i aż dlatego.

A Rosja jest takim właśnie krajem. Krajem przyjaznych ludzi.

Fot. Archiwum

„ZNAJDŹCIE MI, CHOĆBY JEJ GRÓB..."

Fot. A. Wach

Krystyna Różycka-Gałąskowa i Stiepan Riaszczenko (zdjęcie z 1973 r.)

Dalszy ciąg ze str. 1

W 1941 ROKU

W 1941 roku, kiedy hitlerowcy napadli na Związek Radziecki, z Rokitna pod Kijowem wyruszył na front 21-letni absolwent technikum melioracyjnego **Stiepan Nikołajewicz Riaszczenko.** Wojował niezbyt długo, ale zdążył dosłużyć się stopnia leitnanta Armii Czerwonej, gdy pod Żytomierzem popadł w niewolę jako dowódca oddziału moździerzy.

Trudno pisać o tym, co przeszedł w hitlerowskich lagrach. Niemcy radzieckich jeńców traktowali dosłownie jak bydło, z tym że bydłu daje się jeść... Kilkakrotnie próbował uciekać. Kiedyś w obozie pod Białymstokiem wskoczył zimą do rzeki, ale Szwaby i tam, pod wodą rozciągnęli druty kolczaste. Wreszcie trafił do obozu jenieckiego w Piotrkowie Trybunalskim, przy ul. Wolborskiej, tam gdzie dziś jest baza PKS. Młodego chłopaka, dawnego sportowca, zachowującego mimo wszystko stosunkowo niezłą kondycję, zapędzono do porządkowania strefy śmierci między dwoma rzędami kolczastych drutów. Wszystko tu musiało być idealnie czyste, nie śmiała rosnąć najmniejsza trawka, ziemia winna być starannie zagrabiona, by ślady było znać nawet jeśli mysz przebiegnie. Wieczorami „Ruskie", jak ich tu nazywano, nie bez sympatii, śpiewali. Głośno, dźwięcznie i pięknie, Szwabom na pochybel, sercom na uspokojenie...

Stiepan wraz z kilkoma bardziej aktywnymi próbował organizować ucieczkę. Byli strzeżeni bardzo czujnie i dokładnie. Nie na tyle jednak, by nie dało się zmajstrować... procy. Przy pomocy tej starożytnej broni wystrzelił Stiepan karteczkę tuż pod koła roweru, na którym jechała, jak wiele razy przedtem, młoda śliczna dziewczyna. Nie znał jej, widywał ją w czasie tej swojej pracy z odległości najwyżej kilkunastu metrów, ale nie miał wyboru... Na karteczce pisał tylko, że musi uciec, że nie wie kiedy i jak to zrobi, ale że liczy na pomoc. Odpowiedź przyszła przez strażnika, który znał rosyjski i który milcząco godził się pomagać. W odpowiedzi był adres, pod który ma się zgłosić, gdy ucieknie...

Dziewczyna nazywała się **Krystyna Różycka,** była łączniczką między komórką Kedywu w Piotrkowie a stacjonującym w pobliskich lasach koło Stefanowa 25 Pułkiem Armii Krajowej.

KRYSTYNA

Kiedy wybuchła wojna 15-letnia **Krystyna Czekańska** była uczennicą Żeńskiego Gimnazjum Szczanieckiej w Łodzi. Wkrótce hitlerowcy zamknęli, polskie szkoły a dziewczyna została wywieziona pod Włocławek, do roboty w niemieckim gospodarstwie rolnym. Nie uśmiechała jej się rola szwabskiego parobka. Szybko więc pożegnała niegościnny teren, przedostała się do Warszawy przechodząc przez „zieloną granicę" w okolicach Żychlina, gdzie przebiegała granica ustanowiona przez Niemców między tak zwanym Warthegau (do którego zaliczono i Łódź) a Generalgouvernement.

W Warszawie szybko nawiązała kontakt z podziemiem. Jeszcze przed przejściem granicy zniszczyła swoje dokumenty, a w konspiracyjnym warszawskim mieszkaniu przy ul. Smolnej wyposażono ją w Kennkartę na nazwisko **Krystyna Różycka** i skierowano do Piotrkowa, gdzie już mieszkała jej ciotka p. Helena Pacerowa.

Kiedyś znajoma ciotki przysłała z Łasku talon umożliwiający wysłanie paczki oficerowi polskiemu przebywającemu w ofiagu. Dzięki temu porucznik Andrzej Gałąska, architekt z cywila, stał się na cały okres okupacji podopiecznym Krystyny. Do Armswalde, do Grossborn, a w końcu do Dessel szły paczki i listy. Tych ostatnich wymienili dokładnie 188. Pierwsze zaopatrzone były w nagłówki „Szanowna Pani", ostatnie: „Najdroższa" „Najukochańsza..."

Jeniec zaproponował dziewczynie małżeństwo na odległość. Nie wiedział, że ona tu balansuje cały czas nad przepaścią, bo przecież w każdej chwili byle żandarm może ją ściągnąć z tego roweru, którym jeździ wożąc leśnym meldunki...

Co mógł wiedzieć jeniec oflagu o tym jak blisko była śmierci, gdy pewnego razu wynajętą furmanką, w niedzielę, w skrzynce pod jabłkami wiozła broń na stację w Jeleniu. Hitlerowscy żołnierze, zwabieni nie tylko jabłkami co niepospolitą urodą dziewczyny, zatrzymali furmankę, zaczęli się przekomarzać, podszczypywać. Znosiła to jak mogła najdzielniej, tłumiąc wstręt i rosnącą ochotę by palnąć wraże, roześmiane gęby. Poczęstowała ich jabłkami, wiedząc ile może ich dać, by między owocami nie zaśniła kolba pistoletu...

UCIECZKA

Tak to trwało do wiosny 1944 roku, kiedy to wychudzony dryblas, o gorejących, ciemnych oczach — wysłał z procy, zza drutów, kamień owinięty zapisanym po rosyjsku tekstem. Ciotka Pacerowa przetłumaczyła. Wysłano odpowiedź. Teraz trzeba było czekać na okazję.

Nadarzyła się niezadługo. Ktoś sypnął konspirujących jeńców. Kolejno wożono ich do niemieckiego sztabu przy ówczesnej ul. Ziem Wschodnich 45 (dziś Wojska Polskiego). Poszedł sygnał do Krystyny: teraz on musi uciekać.

Wieziono go samochodem. Konwojent wszedł do środka, a on z kierowcą pozostał na ulicy. Myślał gorączkowo, opracowywał różne warianty: kiedy wyjadą z miasta, wyskoczy z samochodu. A może zaraz rąbnąć tego kierowcę?! Wrócił konwojent. Stiepan poprosił o zaprowadzenie do ubikacji. Przez sień, przez niskie drzwi, przez mały korytarzyk, po stromych stopniach na podwórze i przez podwórze, na drugą stronę... Cały czas gorączkowo myśli: jeżeli ubikacja będzie drewniana — wybiję deskę z tyłu... Ale była solidnie murowana: dwie kabinki, przed nimi wąski korytarzyk. Stiepan słyszy, że towarzyszący mu Niemiec sadowi się w sąsiedniej kabince. Zdjął pas z kaburą!... Teraz!... Jeden skok, wyrywa mu kaburę, wyszarpuje z niej „Parabellum", rąbie nim w głowę hitlerowca, raz, drugi, trzeci!... Bezwładne ciało wali się mu pod nogi. Teraz szybko, przez niski płot, przez ogródek, następny płot i jeszcze jeden. Nie ma czasu pomyśleć, czy jest ścigany. Nie wie, jak przeskoczył bardzo wysokie ogrodzenie i nagle znalazł się na niewielkim placyku, na którym wesoło kręci się karuzela. Wokół ciżba ludzi. Jeśli ktoś — krzyknie — przepadłem — myślał. Ale nikt nie zareagował na widok ostrzyżonego chłopca w zniszczonym rudawym mundurze i z pistoletem w dłoni. Popędził dalej, w kierunku cmentarzy, potem nad Strawą, pod mostem i znowu w ogródki jakieś, między opłotki...

Zapamiętał, że domek, drewniaczek z niewielkim pięterkiem, miał u wejścia ganek. Tam przyjęła go jakaś starsza kobieta i jej córka, albo wnuczka — **Wiera Mitas.** Kobieta dała mu chleb i poduszkę.

— Na co mi poduszka?! — wymawiał się, dygocąc jeszcze z wrażenia.

— Połóż się, synku, na stryszku, odpocznij.

— Dajcie matko znać tamtej, na Ziem Wschodnich!

— Dobrze, dobrze... Ale najpierw się połóż. Odpocznij sobie...

Zawiadomiła Krystynę, mieszkającą na prawo od bramy, na pierwszym piętrze, w pokoju z balkonem przy ul. Ziem Wschodnich 40, czyli niemal naprzeciwko sztabu, skąd niedawno zwiał Stiepan. Krystyna przyjechała na rowerze, przywożąc ze sobą ubranie wujka zamęczonego w Radogoszczu. Wujek wszakże był człowiekiem mniej niż średniego wzrostu, zaś Stiepan... Wychudłe ręczyska wysterczały z zakrótkich rękawów, spodnie nie zakrywały kostek...

Rowerem, poprzedzany przez Krystynę i Henryka Misztelę, wtajemniczonego wcześniej w całe przedsięwzięcie, dotarł do mieszkania ciotki Pacerowej. Czekali na niego chodząc po ulicy: pani Helena, Władysław brat Krystyny.

Zmierzchało. W oficynie domu, gdzie miał być ukryty, buszowali właśnie żandarmi. Ale już nie było wyjścia. Po schodach na górę i tam pierwsza wersja: będzie stał na balkonie i w razie czego zeskoczy na ulicę i ucieknie.

Dalszy ciąg na str. 6

Listy do Redakcji

Dalszy ciąg ze str. 1

jową, motyw pracy i walki proletariatu potraktowany został zbyt formalistycznie i powierzchownie, co osłabia ich artystyczną wymowę, a tym samym i wartość poznawczą."

Otóż uważam za wskazane sprostować, że „Włókniarze" nie są ani powieścią, ani próbą prozatorską, tylko trzynastozgłoskowym poematem epickim, wydanym w 1936 roku przez warszawskie Wydawnictwo Współczesne. O poemacie tym na łamach „Wiadomości Literackich" pisał świetny ówczesny teoretyk i krytyk poezji, K.W. Zawodziński, pod tytułem „Czyżby odrodzenie poezji epickiej" (!): „Nie waham się twierdzić, że jest to epos robotniczej Łodzi, rzetelnością prawdy, rozległością i wielością ujętych spraw, sposobem podejścia, a raczej wyjścia utworu z opisywanego świata. Używam terminu „epopeja" w głębokiej wierze, że jest on stosowniejszy tu, niż np. gdy w swoim czasie określano nim „Pana Balcera" Konopnickiej" (!).

I dalej tenże Zawodziński:

„Choć książka jest duża (277 stron), treść jej zdumiewa bogactwem nawet w stosunku do rozmiarów".

O Jeremskim pisałem w „Odgłosach", w numerze 14 z 1965 roku, pt. „Włókniarze" — dokument poetycki". Przytaczałem tam obszerne cytaty, świadczące o wielkiej sprawności wersyfikacyjnej autora, o sile jego obrazowania, o bogatym słownictwie. Motyw walki proletariatu nie tylko nie został potraktowany powierzchownie, lecz jest właśnie podstawową treścią poematu, całkowicie i wyłącznie poświęconego robotnikom. Tu — odwrotnie niż w „Ziemi obiecanej" — „fabrykanci są gdzieś daleko, stanowią bezosobową groźną siłę, z robotniczych izdebek nie widać ich ludzkich twarzy" (przepraszam, cytuję za własnym artykułem sprzed dziewięciu lat).

Jeżeli wspomina się o Timowskim — Kostinie, dziennikarzu wysłanym doryw czo do buntującej się Łodzi „na reportaż" i wcale nie związanym z naszym miastem, to znacznie bardziej zasłużył na wzmiankę — na sumienną wzmiankę — Józef Jeremski. Szkoda, że nie udało mi się moim artykułem zwrócić uwagi na tego autora i zainteresować nim badaczy piśmiennictwa łódzkiego. Oprócz poematu „Włókniarze" Jeremski wydał jeszcze powieści: „Zezowate oko" (1938), „Tajemnica komisarza policji" (1935), „Przekleństwo życia" (1933) i „Ludzie z parteru" (1936).

Wszystkie te utwory dostępne są w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

* * *

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

GRZEGORZ KRAWCZYK (Warszawa). Niezwykle nam przykro, że nie możemy spełnić Twojej prośby, ale nie pośredniczymy przy wymianie adresów. Zwróć się w tej sprawie do któregoś z pism młodzieżowych. Tym niemniej przekazujemy od Ciebie pozdrowienia Tomkowi Mędrzakowi i Monice Rosce, chociaż tylko tą drogą.

Życzymy dobrych wyników w nauce.

ZDZISŁAWA MATUSIAK (Łódź). Dziękujemy za słowa uznania i pozdrowienia, a także za słowa krytyki pod adresem „Magazynku". Wydaje się nam, że ostatnio znacznie poprawił się i mamy nadzieję, że z każdym tygodniem będzie lepszy.

Uwagi pod adresem Ćwieka przekażemy.

„STAŁY CZYTELNIK „ODGŁOSÓW" i „DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO". Za list w sprawie rozmowy z mgr Andrzejem Jóźwiakiem dziękujemy. Z niektórymi uwagami zgadzamy się, z innymi — nie. Całość chętnie byśmy wydrukowali, nie czynimy to tylko dlatego, że jeśli ktoś ma odwagę krytykować kogoś za wypowiedź publiczną, której autorzy nie ukrywali swych nazwisk, to powinien mieć też odwagę — przynajmniej — podać nazwisko do wiadomości redakcji.

Tego typu anonimów drukować jednak nie będziemy.

„CZYTELNIK". Z uwagą przeczytaliśmy Waszą kartkę w sprawie niektórych fotogramów Włodzimierza Parysa. I chcielibyśmy tylko przypomnieć stare rzymskie powiedzenie: de gustibus non disputandum — o upodobania nie należy się spierać. U nas — znacznie już później ukuto inne powiedzenie: jednemu podoba się córka, innemu matka. Ale żeby zaraz pisać anonimy, pełne oburzenia i insynuacji. A fe!

Swoją drogą zastanawia nas jeden fakt. Dlaczego ludzie pisujący anonimy wykazują tyle wysiłku w wynajdywaniu oszczerstw, są tak ubodzy w pomysły, kiedy przychodzi do podpisania anonimu. Tutaj inwencja ogranicza się najczęściej do tradycyjnego już: „Czytelnicy", „Stały Czytelnik", „Wasz Przyjaciel".

Dalszy ciąg ze str. 1

w województwie łódzkim zakładowych organizacji partyjnych. I właśnie to spowodowało, że znalazłem się w gabinecie **Zdzisława Paprockiego** — I sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR.

Spotkałem się z nim po raz pierwszy przed laty, kiedy stawiał pierwsze kroki w zakładzie. Był jednym z bardziej ruchliwych ZMS-owców. Dość szybko powierzano mu coraz bardziej odpowiedzialne funkcje.

Do tej rozmowy przygotował się wcześniej. Sam zresztą zachęcał mnie, abym kiedyś znalazł więcej czasu i przypatrzył się pracy zakładowej organizacji partyjnej. Zaczął od statystyki, choć sam — ekonomista — bardzo jej nie lubi.

— A więc na początek może powiedzmy o tym, co jest naszym sporym sukcesem. Dokładnie co trzeci członek załogi jest członkiem organizacji partyjnej. Jesteśmy pod tym względem pierwszymi w mieście. A może nie tylko w Zduńskiej Woli.

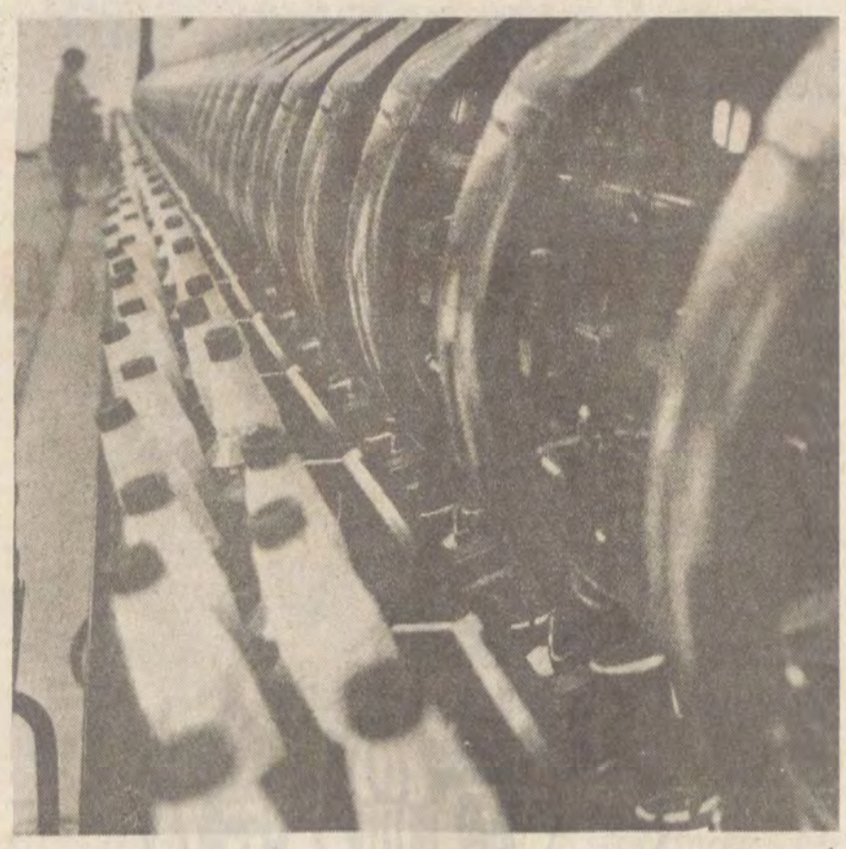

Fot. W. Paryś

Z BIAŁYM ŁABĘDZIEM

Przerwał na chwilę swoje wywody, bo do pokoju wszedł drugi sekretarz — **Tadeusz Grobelny** — jeden ze starszych członków załogi i najbardziej niespokojna dusza w zakładzie. Grobelny dopiero po chwili zauważył moją obecność. I jakby usprawiedliwiając się powiedział:

— Wróciłem ze starego zakładu. Przygotowujemy właśnie izbę tradycji i historii zakładu. I ciągle z tym jakieś kłopoty. A to stolarz nawali, a to znów nie tak jak ustaliliśmy przygotowano plansze.

Po chwili przerwy Paprocki znów podjął temat.

— O maszynie — mówił dalej Paprocki — **o surowcach i ich przetwarzaniu wiemy bardzo dużo. Mamy zresztą niezłych fachowców. Natomiast o człowieku wiemy, niestety, bardzo mało. I dlatego z inicjaty y zakładowego ośrodka propagandy podjęliśmy się badania opinii w fabryce. Zbadaliśmy też opinię załogi na temat gospodarki materiałowej. Zadaliśmy załodze pytanie: „Jak widzisz gospodarność na swoim stanowisku pracy i co możesz usprawnić"? Wyniki przeszły nasze oczekiwania.**

Powoli przerzucam kartki, na których odbija się wieloletnie posługiwanie piórem i te mniej zręcznie pisane, z których widać, że autor musiał poświęcić sporo czasu, aby przelać swe myśli na papier. Oto jedna z odpowiedzi:

„Uważam, że na skręcalni trzeba zdejmować obciągi nie po zakończeniu dniówki, ale po pełnym nawinięciu zwojów. Tu są największe straty. Aż żal patrzeć, ile się w ten sposób marnuje surowca".

Paprocki pośpieszył z wyjaśnieniem. Rozumiał, bo dla niefachowca nie wszystko może być zrozumiałe.

— Otóż przędza nawijana jest na specjalne szpule. I chodziło o to, że po ośmiu godzinach pracy zdejmowało się te niepełne motki, które były zupełnie nieprzydatne dla dziewiarni. To spowodowało, że wprowadziliśmy na skręcalni akord zespołowy. Początkowo były nawet spory, bo niektórzy uważali, że nie wszyscy równie dobrze pracują i jedna zmiana wyrabia normę za drugą. W końcu jednak ludzie się dotarli i już są efekty.

Kiedy Paprocki wyjaśniał istotę robotniczej propozycji, Grobelny coś kreślił na kartce.

— Proszę popatrzeć — powiedział — Kilogram przędzy kosztuje nas 280 zł. Gdyby zaoszczędzić tylko jeden procent mielibyśmy dwa złote i osiemdziesiąt groszy. To niewiele, jeśli ma się na myśli jeden kilogram. Ale my co miesiąc przerabiamy 18 ton przędzy.

Obaj rozmówcy zapalali się z każdą chwilą. Uzupełniali się nawzajem, tak, że w tej chwili nie jestem w stanie ustalić, kto wypowiadał jakie słowa. Zajęty pisaniem faktów, nie zawsze mogłem nadążyć z odnotowaniem osoby rozmówcy.

— A inny wniosek — zwracał mi na niego uwagę Paprocki.

— Wniosek z krojowni.

„Proponuję, aby te resztki, które powstają przy wykrojach wykorzystać do produkcji spodenek".

— Zrobiliśmy, jak nam proponowano. Z resztek, które powstają nawet przy najlepszym uszykowaniu wykrojów, zaczęliśmy wycinać kliny i dodawaliśmy ozdobną gumę, a w efekcie otrzymaliśmy nowy wyrób, szalenie atrakcyjny.

Tylko za pierwsze półrocze udało nam się uzyskać 7 milionów złotych zysku. Ile będzie za cały 1973 rok — zobaczymy po zakończeniu bilansu, ale chyba nie powinno być mniej.

W pewnym momencie udało mi się wreszcie wtrącić, że mieliśmy mówić o ludziach, a tymczasem rozmowa zeszła na sprawy produkcyjne.

— Ależ przecież to wszystko robią ludzie. To jest ich dzieło. Gdybym miał mówić o poszczególnych członkach organizacji, to musiałbym wymienić Genowefę Surmę, przewodniczącą rady ośrodka propagandy, brakarkę Stanisławę Sobczak, Kazimierza Dudka, Adama Budę, Kazimierza Rosiaka... No tak na dobrą sprawę trzeba by wymieniać niemal wszystkich.

Ale weźmy tylko jako przykład grupę członków partii z organizacji NOT, która wystąpiła z propozycją modernizacji zakładów.

— Przecież fabryka była niedawno modernizowana — wtrąciłem.

— Tak, ale jeżeli chcemy utrzymać się na rynku to musimy być konkurencyjni. Musimy robić nowe i bardziej atrakcyjne wyroby, a tego nie da się uzyskać bez zmiany parku maszynowego. Nasi specjaliści wyliczyli, że moglibyśmy przy tej samej liczbie zatrudnionych uzyskać 60-procentowy wzrost produkcji. W liczbach bardziej wymiernych — to 6 milionów sztuk wyrobów dziewiarskich. Jeżeli chodzi o koszty, to zwróciłyby się one po trzech — czterech miesiącach. Naszą propozycję przyjęto przychylnie w Zjednoczeniu. Prawdopodobnie w przyszłej pięciolatce przystąpimy nawet do rozbudowy zakładu.

W szklance pozostało połowę zimnej, wystygłej kawy. Spojrzałem na zegarek. Myślałem początkowo, że zabawię tu dwie, trzy godziny, a tymczasem uciekły mi już dwa pociągi, którymi miałem wracać do Łodzi. Zapisany notatnik zawierał tylko niektóre podane mi szczegóły. Inne postaram się odtworzyć przy następnej wizycie. Bo wrócę tu na pewno. I kiedy żonie będę kupował upominek z metką, która symbolizuje zakład przy pomocy białego łabędzia, przypomnę sobie ludzi z „Woli", których wolą i ambicją jest nie równanie do najlepszych, ale chęć stałego utrzymywania się w czołówce.

HENRYK POLAK

MARIA

Twórczość Izaaka Babla, radzieckiego pisarza i dramaturga, od pewnego czasu cieszy się w pełni uzasadnionym zainteresowaniem. Już w momencie debiutu wielu znakomitych literatów dostrzegło talent i niepowszednią stylistykę tego twórcy. Z uznaniem pisali już w 1928 roku o Bablu Romain Rolland i Kaden-Bandrowski, wyczuwając w nim zwiastuna nowego ducha nadchodzącej epoki. Niesprzyjające okoliczności załamały twórczość Babla. Jego spuściznę można by zamknąć w jednym tomie niewielkiego formatu — dwa dramaty, dwa scenariusze filmowe i cykl opowiadań. W dwóch dramatach pisarza różnych tematycznie i ideowo zawiera się sedno jego światopoglądu.

W „Zmierzchu" wchodzimy w świat żydowskiej Odessy, by poznać ciąg dalszy zapoczątkowanej w opowiadaniach sagi rodu Beni Krzyka. Jest to świat już przemijający, z tym większym pietyzmem maluje Babel miejsca rodowodu odesskich wozaków i bandytów, świat pełen fantazji i wigoru, szczególnie bliski pisarzowi, gdyż tam spędził swe dzieciństwo i lata młodzieńcze.

Dramat ten powstał w 1928 roku, w którym powstały również „Samobójca" Erdmonda i „Ucieczka" Bułhakowa. Wystawione w tym samym roku na scenie II MCHAT szybko jednak zginęły z pola widzenia teatru. A przecież owe trzy tytuły wraz z powstałą w tym samym roku „Pluskwą" Majakowskiego dają obraz niezwykłej wprost siły dramaturgii radzieckiej tamtych lat.

„Maria", drugi dramat Izaaka Babla wyrósł z innych zgoła doświadczeń. Przedstawiony w utworze porewolucyjny światek prezentowany przez różne warstwy społeczne urasta do wielkiej syntezy tamtych lat. Jest ta rzeczywistość autentyczna i nie zafałszowana źle pojęta propagandą. Sztuka to powstała w 1935 roku.

Teatr powszechny w Łodzi podjął ryzyko wystawienia sztuki tego wybitnego pisarza radzieckiego. Ryzyko tym większe, że za dramaturgią Babla nie stoi tradycja inscenizacyjna. Podjęty przez łódzkich twórców wysiłek teatralnej prezentacji „Marii" nie spełnił — jak się wydaje — oczekiwań odbiorców do końca, szczególnie tej części audytorium, która zna pisarstwo Babla.

„Ukazując w „Marii" rozkład rodziny i norm moralnych byłego carskiego generała Mukownina, zaprezentował Babel równocześnie degenerację całej rządzącej klasy, która nie potrafi wyciągnąć dla siebie konsekwencji z dokonujących się przemian. Bohaterka tytułowa dramatu, Maria, zrozumiała rangę przeobrażeń i ona staje się w sztuce symbolem i zwiastunem nowej moralności nadchodzącej epoki. Choć nie pojawi się w utworze ani raz, jej imię, a dla tych, którzy ją znali także moralna siła jej osobowości, nie pozwoli o sobie zapomnieć.

Wizja sceniczna i kreacja aktorska „Marii" w reżyserii **Mirosława Szonerta** daleko odbiega od wartości emocjonalnej i intelektualnej tekstu Babla. Odnosi się wrażenie, że reżyser nie zaufał nośności samego tekstu, jak i organicznie tkwiącym w nim możliwościom teatralizacji. Utwór, podzielony na osiem odsłon, o celowo fragmentarycznej budowie dramaturgicznej, spróbowano scalić w stylistyczną jedność. I to niewątpliwie wpływa na obraz całości przedstawienia, które momentami świetnie prowadzone, z wyczuciem stylu i tempa, załamuje się co krok, by toczyć się w tonie co najwyżej poprawnym, a przecież jakże często nawet od tej poprawności dalekim. Zagubione zostały ostrość wymowy utworu, drapieżność i bezkompromisowość tak charakterystyczna dla postawy Babla.

Plastyczna oprawa przedstawienia nie kompensuje tych niedociągnięć, z pewnością jest funkcjonalna, ponieważ obrotowa scena pozwala osiągać duże tempo przy zmianie miejsca akcji, ale na tym jej rola kończy się. Dekoracyjność wnętrz przywodzi na myśl zły mieszczański teatr końca XIX wieku.

Brak nadrzędnej, jednolitej koncepcji przedstawienia daje o sobie znać także w opracowaniu muzycznym **Bogdana Pawłowskiego.** Muzyka stanowi autonomiczny element spektaklu, poddaje się estetycznej kontemplacji, ale trudno mówić o współgraniu jej w całości widowiska.

Budzi zastrzeżenia interpretacja aktorska. U Babla są to postacie pełne życia, które na scenie stają się blade i sztuczne. Odnosi się wrażenie, że aktorzy nie radzą sobie z tworzywem słownym, z warstwą emocjonalną interpretowanego tekstu. Broni się kreacja **Ewy Krzyńskiej** w roli Katarzyny Felzen, aktorka znalazła klucz do tej postaci i konsekwentnie prowadzi swą rolę, odsłaniając psychikę zagubionej wśród chaosu czasu swej bohaterki. Bardzo trudna, bogato rozbudowana w dramacie postać Ludmiły Mukownin gra **Barbara Połomska.** Poziom jej aktorstwa w tym przedstawieniu, w tej specyficznej roli, ulega poważnym wahaniom, od nadmiernego, choć może zamierzonego przez aktorkę przejaskrawienia do wspaniałego finału, popisu doskonałego aktorstwa, w scenie w komisariacie milicji. Obsadzona w epizodycznej roli **Jadwiga Andrzejewska,** święci triumf w roli Niefiedowny, dzięki kunsztowi aktorstwa. Wytworzony przez aktorkę dystans do kreowanej postaci nianki, zamkniętej w swym własnym, ale jakże pełnym ciepła świecie emanuje z niezwykłą wprost siłą psychologicznego wyrazu. Nie spotyka się dziś, przynajmniej w łódzkich teatrach, tej klasy aktorstwa.

Pisarstwo Babla nie jest łatwym materiałem dla teatru, ale przecież, jak się wydaje, może inspirować wspaniałe pomysły. Nie da się wlaczyć propozycji Teatru Powszechnego do przedstawień, które odznaczają się niezależnością i śmiałością artystycznych inicjatyw, ale warto je na pewno zobaczyć, aby przeżyć naocznie doświadczenie teatru z Bablem. Choć żal Babla.

MARIA MULARCZYK

Teatr Powszechny. Izaak Babel, „Maria", przekład: Jerzy Pomianowski. Reżyseria: Mirosław Szonert, scenografia: Antoni Bystroń, muzyka: Bogdan Pawłowski.

TEATR

„ZNAJDŹCIE MI, CHOĆBY JEJ GRÓB..."

Dalszy ciąg ze str. 5

Nie było potrzeby. Siedział potem i opowiadał o sprawach jeżących włos na głowie, o straszliwych warunkach i wymyślnych katuszach zadawanych jeńcom. O głodzie potwornym i śmierci — wybawicielce...

Lecz nie mógł tu być bez końca, w centrum miasta, gdzie pełno szpicli i żandarmów, Krystyna chyba rok wcześniej poznała starszego pana, który przedstawił jej się jako malarz wysiedlony z Łodzi, **Antoni Wippel.** Prosił, by mu pozowała do portretu. Sprawdziła wówczas — był człowiekiem godnym zaufania.

W KRYJÓWCE

Teraz przypomniała sobie o nim. Nie wtajemniczała go w szczegóły. Wippel zgodził się. W komóreczce na stryszku drewnianego domku przy dzisiejszej ul. Barlickiego 7, **Stiepan Riaszczenko** spędził zamknięty, bez możliwości poruszania się, aby nie alarmować sąsiadów, kilkadziesiąt dni. To także nie mogło trwać w nieskończoność. Nie miała prawa narażać na śmiertelne niebezpieczeństwo obcych, bądź co bądź, ludzi.

Wtedy znowu zgłosiła się do Miszteli. Zapadła decyzja, że Stiepan zostanie przerzucony do mieszkania narzeczonej Henryka mieszkającej z rodzicami — **Danusi Mecych,** przy ul. Słowackiego 53. Ostrzeżono go, że musi zachowywać się z najwyższą ostrożnością, że nie wolno mu pod żadnym pozorem podchodzić do okna. I siedział. Gdy przychodziła nieczęsto nadmiernie obciążona setką obowiązków, zastawała go na krześle, w kącie, załamanego, płaczącego i błagającego, żeby przerzucić go do lasu, do partyzantów...

Kiedyś zastukał do drzwi ktoś w umówiony sposób. Przypadek. Stiepan otworzył. W progu stał młody człowiek — inkasent z elektrowni! Natychmiast zorientował się z kim ma do czynienia. A więc wsypa! Niestety w określonych warunkach można było tylko czekać i myśleć: czy ów inkasent okaże się człowiekiem i zataI co odkrył, czy — zadenuncjuje. Był uczciwym człowiekiem...

Innym razem nad Piotrkowem przelatywały samoloty. Stiepan nie wytrzymał. Podszedł do okna, spojrzał w niebo, a następnie w dół. Tam stała kobieta, bacznie mu się przyglądając. Opowiedział o tym swoim opiekunom. Kobieta owa nie była osobą godną zaufania. Natychmiast więc zorganizowano przerzut uciekiniera do innej meliny, także na ul. Ziem Wschodnich, w pobliżu synagogi.

Kto mógł wiedzieć, że w domu obok znajduje się konspiracyjna radiostacja?! Któregoś wieczoru odprowadzono Stiepana w okolice Stefanowa, do 25 Pułku AK, gdzie gromadzono radzieckich uciekinierów z niewoli. Następnego dnia rano hitlerowcy przetrząsnęli bardzo dokładnie wszystkie posesje w rejonie ostatniego jego pobytu, poszukując owej radiostacji.

W PARTYZANTCE

W owym pułku zebrało się ok. 200 radzieckich zbiegów. Niemal każdy z nich miał jakąś broń. Któryś z oficerów zarządził w pewnym momencie... rozbrojenie sowieckich gości. Zebrano ich w dwuszeregu, otoczono uzbrojonymi ludźmi. Stiepan wystąpił w imieniu wszystkich: rozbrojenie nie wchodzi w rachubę, broni zdobytej na wrogu nie oddamy. Chcemy, jak i wy, walczyć ze znienawidzonym, bandyckim najeźdźcą...

Sytuacja zrobiła się, ogólnie rzecz

„POWAŻNY BŁĄD"

W numerze 1 „Odgłosów" z bieżącego roku ukazała się odpowiedź p. Wandy Lipiec na opublikowaną przeze mnie wcześniej krytykę jej broszury „Kultura i oświata w Łodzi w okresie międzywojennym". Dyskusja właściwie byłaby zbędna, zwłaszcza, że autorka zastrzegła się, iż moje stanowisko jest dla niej „sprawą nieistotną". Ponieważ jednak w replice została zakwestionowana moja rzetelność naukowa, a spór jest prowadzony na forum publicznym, proszę o wydrukowanie następujących wyjaśnień:

Moja krytyka dotyczyła wyłącznie ustępów traktujących o życiu artystycznym Łodzi (s. 27—31), co zaznaczyłem na początku. Jak wynika z treści listu nie zajmowałem się np. ustępem „Filharmonia i teatr". W jaki sposób autorka wyliczyła, że moja krytyka dotyczy 1/30 jej rozważań, nie wiem.

Sprawa Strzemiński—Szyk. Jeśli wymieniając nazwiska twórców jedno tylko opatrujemy określeniem „światowej sławy artysta", jest rzeczą oczywistą, że człowiekowi, o którym mowa, nadajemy rangę w stosunku do innych wyjątkową. Ponieważ miałem wątpliwości, czy taka była rzeczywista intencja autorki, napisałem o „nieszczęśliwej stylizacji". Co to ma wspólnego z „wyciąganiem zdań z kontekstu"? Zarzut przemilczenia międzynarodowego znaczenia działalności grupy a.r. autorka pozostawia bez odpowiedzi. W tym kontekście jest to zarzut — jak sądzę — bardzo istotny. Dodajmy, że czasopismo „Forma" nie było organem grupy a.r., zaś z wymienionych dalej w tekście artystów tylko Strzemiński i Kobro byli jej członkami. Jak więc rozumieć wyjaśnienie autorki: „dalej piszę o czasopiśmie „Forma" i całej tej grupie"?

Sprawa kolekcji a.r. Autorka sprowadza spór do kwestii, czy należało wymienić w tekście datę protokolarnego przejęcia depozytu przez muzeum. Tymczasem nie jest rzeczą obojętną, kiedy kolekcja została umieszczona w Łodzi. Decyduje to o randze historycznej instytucji, drugiego w świecie muzeum tego typu. Skoro w 1931 r. (częściowo zresztą wcześniej) kolekcja znalazła się w Łodzi i co najmniej od tegoż roku była udostępniona publiczności, to wyjaśnienie na czym polega „kładzenie podwalin pod sztukę nowoczesną w galerii muzeum" przez dr Minicha pozostanie tajemnicą autorki. Dyrektor Minich pisze wyraźnie w swoich wspomnieniach, jakie wrażenie wywarła na nim ta kolekcja, gdy po raz pierwszy ujrzał ją w łódzkim muzeum pod koniec grudnia 1934 r. („Szalona galeria" s. 14—15). Autorka twierdzi, że nigdzie expressis verbis nie pisze, że dyr. Minich przyjął kolekcję z rąk ofiarodawców. Nie wiem w tej sytuacji, jaka jest prawidłowa interpretacja cytatu o „dyrektorze, który przyjął kolekcję", zwłaszcza że autorka w swej replice przemilcza fakt, iż omawia sprawę powstania kolekcji w akapicie poświęconym działalności dyrektora Mariana Minicha. Mamy tu do czynienia z osobliwą praktyką wyrywania zdań z kontekstu własnej pracy. Dalsze natomiast uwagi o zasługach dyr. Minicha, choć niewątpliwie słuszne, są całkowicie zbędne, gdyż: zasług tych w swojej krytyce nie kwestionowałem, wręcz przeciwnie wspomniałem o nich z najwyższym uznaniem. Brak natomiast wyjaśnienia, dlaczego zostały pominięte zasługi Smolika i Strzemińskiego w tym względzie oraz fakt, że kolekcja stanowiła dar grupy a.r. Sprawy te szczegółowo omawia m.in. dyr. Minich w Roczniku Muzeum Sztuki (s. 9). Zob. także „Grupa a.r." Łódź — 1971 (s. 109—122).

Zgadzam się, że za błędy drukarskie jedynie częściowo ponosi odpowiedzialność autorka. Nie wydaje mi się, iżby mój tekst pozwalał na odmienną interpretację tej kwestii, jeśli jednak byłoby inaczej, to w tym wypadku ja jestem winien nieszczęśliwej stylizacji".

Przewidywania, że „przeciętny czytelnik" popularnej pracy skoryguje zawarte w niej błędy w oparciu o inne opracowania, jest dowodem nadmiernego już optymizmu.

Podtrzymuję wszystkie postawione uprzednio zarzuty, tym bardziej że omówione usterki można było usunąć w ciągu pół godziny pracy w jakiejkolwiek większej bibliotece.

dr JACEK OJRZYŃSKI

(Kierownik Działu Dokumentacji Naukowej Muzeum Sztuki w Łodzi)

TEATR 30 MILIONÓW

PIOTR SŁOWIKOWSKI

7 stycznia 1974 r. Teatr Telewizji przedstawił „Partitę na instrument drewniany" — Stanisława Grochowiaka w reżyserii Stefana Szlachtycza. W jednej ze scen (części sztuki) cieśla Weych rozmawia z Subikiem — swoim uczniem. Ciosają belki na szubienicy. Dźwiękowe linie: dialogu i uderzeń siekier prowadzone są równocześnie. Każda posiada własne brzmienie, rytm, frazowanie, pauzowanie, tempa, co różnicowane jest gamą odcieni słów, zdań, pytań i odpowiedzi osób dialogu, ich stanem emocjonalnym.

Coś jednak mąci tę polifonię, fałszuje jej wartość artystyczną, osłabia ton tragiczny całej tej sekwencji. Wizja. Właśnie na zbliżeniu jest belka, uderzająca w nią siekiera i noga majstra. I może właśnie ten obraz każe wyczuć w głosie aktora jego nadrzędną uwagę — by nie uderzyć źle, by każdy cios sprawiał wrażenie autentycznego uderzenia cieśli, by nie zagłuszać diologu (zbieranego przez jeden mikrofon) wreszcie, by cios

był... bezpieczny. Obraz zdemaskował i zakłócił harmonię utworu. Był zbędny.

I stało się, że „Partita na instrument drewniany" przypomniała nam o zjawisku teatru, który istnieje bez języka obrazu, jego brak wypełniając bogatym światem dźwięku. **Teatr Radiowy.** Bez fizycznej — widzialnej postaci aktora, ruchu scenicznego, gry świateł, scenografii, kostiumów — czy ubogi?

Ogromną część słuchowiska **Władysława Terleckiego** pt. **„Podróż nocna"** w reżyserii Juliusza Owidzkiego stanowiła rozmowa Elizy Orzeszkowej (Ewa Żukowska) z Romualdem Traugutem (Michał Pawlicki). Dialog oscylował wokół postaw etycznych bohaterów, poświęcenia się dla idei i historii. Toczył się w pojeździe, których dyktator powstania udaje się do Warszawy. O tym, że podróż odbywała się nocą dowiedzieliśmy się we wstępnej scenie — przygotowań do odjazdu. W czasie podróży słychać było stukot kół, kopyt końskich oraz szum deszczu. Plan dźwiękowy słuchowiska stwarzał jego tło, budował rekwizyt, swoistą scenografię, był także tym, czym w literaturze jest opis.

Oczywiście może się zdarzyć, że w słuchowisku zastosowany będzie opis czy opowiadanie w postaci czysto literackiej. Tak było w **„Terapii przestrzennej" Leona Gomolickiego** w reżyserii Romany Mater. Narrator (Bogusław Sochnacki) wprowadził słuchaczy w miejsce akcji. Rolę narratora podejmował także bohater przedstawienia — Pan N. (Józef Zbiróg). Np. po rozmowie z właścicielką willi Pan N. mówi: „Muszę się teraz ogolić". Zdanie to wyrwane z ciągu wypowiedzi — będącej uzewnętrznionym monologiem wewnętrznym bohatera — nie ma istotnego sensu dla dramaturgii rozważań. Opowiada jednak o przyszłej czynności i sygnalizuje miejsce, w którym się będzie ona odbywać, bo tam w lustrze pojawia się nowa postać — Lustrzański (Andrzej May) i z nim toczy się istotny dialog.

Ciekawą formę monologu stanowi wypowiedź naczelnej postaci słuchowiska **Zbigniewa Herberta „List"** w reżyserii Helmuta Kajzara. On (Jan Świderski) opowiada dziennikarzowi swoje tragiczne dzieje, dzieje człowieka szukającego przyjaźni, miłości, szacunku. Dziennikarz nie wypowiada w słuchowisku ani jednego słowa. Jego obecność sygnalizowana jest szmerami składającymi się na dźwiękowy opis wszystkich czynności przy zapalaniu papierosa, a także odpowiedziami bohatera — „nie, dziękuję, nie palę", wypowiedziami typu „pan redaktor patrzy na zegarek" lub odpowiedziami na niesłyszane przez słuchacza pytania np. „Nie, nie, ja jestem spokojny".

Wszystkie nakreślone dotychczas przykłady wskazują na związki słuchowiska z literaturą i teatrem. Oczywiście tego powinowactwa nie da się w pełni uniknąć. Odgłos kroków, skrzypienie drzwi oznaczają wejście nowej postaci. Trzask zapałek, jeśli powtarzany kilkakrotnie, charakteryzuje postać, przypomina o jej obecności. Gdakanie kur, porykiwanie wołków opisuje miejsce akcji. Plan czy tło dźwiękowe służy w tych przykładach do budowania obrazu w wyobraźni słuchacza. Dźwięk znaczy jak słowo, jest to dźwięk semantyczny. Funkcjonuje jak opis, opowiadanie w literaturze, gest (np. oznaki nerwowości), rekwizyt czy scenografia w teatrze. Wykorzystując literacką czułość na słowo u słuchacza kreuje w jego fantazji obraz iście sceniczny. I nie ten rodzaj dźwięku stanowi, jak sądzę, o odrębności poetyki teatru radiowego. On tylko zastępuje brak obrazu, ilustruje.

W znajdującej się do niedawna w repertuarze Teatru im. Stefana Jaracza sztuce **Michała Bułhakowa „Moliere"** była niezwykle interesująca sekwencja spowiedzi Magdaleny Bejart. Na prawie zaciemnionej scenie, stał słabo oświetlony konfesjonał, z boku którego klęczała kobieta. Spowiedź odbywa się zazwyczaj szeptem. Oczywiście znany jest tzw. szept aktorski, ale reżyser (Krzysztof Jasiński) rozwiązał tę trudność inaczej i o wiele ciekawiej. Wyznanie przy konfesjonale nadawane było przez wzmacniacze. Dialog, który toczył się szeptem przy minimalnej odległości między mówiącymi uzyskał potężny, wzmocniony lekkim pogłosem, wymiar, nie tracąc nic ze swej intymności i dramatyczności a nawet potęgując te aspekty. Wydaje mi się, że był ten moment najlepszym przykładem wartości teatru radiowego. Teatru miejsca w rezonatorze maski starogreckich aktorów. Przy ustach aktora i przed przestrzenią aktora i przed przestrzenią wokół niego.

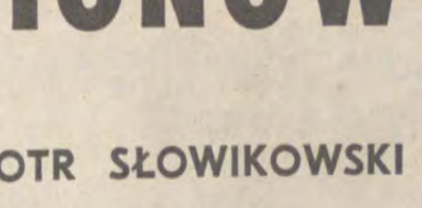

Tylko mikrofon jest w stanie uchwycić, wzmocnić i ukazać naturalne przydźwięki towarzyszące mowie, jak na przykład mlaśnięcie, sapanie, szmer oddechu, pomruk, a także tę cudowną śpiewność języka polskiego, wartości artykulacyjne systemu głosek, ich brzmienie. Lepiej niż teatr, bo mikrofon intensywniej skupia nas, wsłuchuje w mowę. Wszystkie jej wartości potrafi plastycznie namalować. Świat dźwięków nie tylko podkreśla słowo jako takie, ale sam jest też tworzywem. Czyli między nim a słowem weń oblekanym zachodzi podobny stosunek jak między gestem i aktorem. Bez słowa istnieć w pełni nie może (w słuchowisku!), a słowo ubogie jest bez niego. To są dźwięki z planu pierwszego, z jakby proscenium teatru mikrofonu. Te z dalszych planów, jak sądzę, zyskują miano tworzywa czysto słuchowiskowego nie wtedy, kiedy kreując obraz ilustrują natrętnie, ale gdy samodzielnie stanowią dramatyczny układ brzmień. Spięcia dźwięków funkcjonują w dwóch kierunkach — między sobą i w stronę podbudowania pierwszego planu. Głównym celem „uderzeń siekiery" jest więc nie opisywanie sytuacji zewnętrznej — miejsca, pracy i czynności rozmawiających, ale podkreślenie tego co „kotłuje się" w ich duszach, a czego nie nazywają słowami.

Taki plan dźwięków ma więc równą wartość, co plan dialogów. Sytuacja ta będzie jeszcze wyraźniejsza kiedy tło dźwiękowe zostanie skomponowane z dźwięków, szmerów, stukotów zupełnie asemantycznych a stwarzających niepowtarzalny nastrój. Nastrój niezwykłej wprost „fonicznej głębi" słuchowiska — przestrzeni od ust aktora po echo kamery pogłosowej, przestrzeni wypełnionej masą dźwiękową — od wszelkich kombinacji z brzmieniem słów czy wyrażeń po deformację dźwięku. Oczywiście plan dźwiękowy nie powinien zamazywać wartości słowa. Nic tak nie rewaloryzuje wartości słów jak ich kształt radiowy. Nic tak nie przypomina o twórczym oddziaływaniu na wyobraźnię odbiorcy, jak ich właściwe zastosowanie w słuchowisku. Zbyt ostre eksperymenty formalne zatracić mogą ich sens. I wtedy będzie już krok do muzyki. Nie może jednak teatr radiowy polegać tylko na „odczytywaniu", bo to tylko krok po literaturze.

Ma więc Teatr Radiowy swoje obszerne i ciekawe pole. Reżyser winien wykazać się w nim nie tylko znajomością budowania aktorskiej postaci, stwarzania typów, ale również „muzykalnością", umiejętnością wręcz współczesnej techniki radiowego komponowania. Zdobycze i rozwój przekazu stwarzają instrument niezwykle funkcjonalny do tego rodzaju kompozycji.

---

biorąc, trudna i napięta. Ale ktoś mądrzejszy z dowództwa pułku rozładował ją pozostawiając radzieckim żołnierzom ich broń. Musieli jednak pułk opuścić. Wraz z nimi odeszła pewna grupa akowców. Odkonwojowano ich na teren Kielecczyzny do dyspozycji III Obwodu Armii Ludowej. Rozkazem z 13 września 1944 r. jego dowódca, wówczas podpułkownik Mieczysław Moczar, sformował z nich dwie brygady AL: 10 „Pobieda" — „Zwycięstwo" i 11 „Swoboda" — „Wolność". Dowódcą tej drugiej mianowany został leitnant Armii Czerwonej **Stiepan Nikołajewicz Riaszczenko.**

Krystyna odwiedziła go tam, zawiadomiona grypsem przyniesionym przez zaufaną kobietę w koszu z jajami. Dała mu wtedy swoją fotografię. Gdy odwiedziła go po raz drugi, już po słynnej bitwie pod Gruszką, w której to właśnie Stiepan wyprowadził otoczonych partyzantów przez hitlerowski kordon, dał jej portret narysowany przez jakiegoś żołnierza z tamtej właśnie fotografii. Na odwrocie widnieje dedykacja pięknie wykaligrafowana przez Riaszczenkę:

„Kochaj mnie zawsze tak, jak ja Ciebie, a będziemy wiecznie żyć... Krysi, w dniu urodzin. Stiepan Riaszczenko".

Potem słyszała już tylko o bitwach partyzanckich jakie jeszcze toczył. Potem ślad po nim zaginął...

SKOŃCZYŁA SIĘ WOJNA

Krystyna wróciła do Łodzi i oczywiście zaczęła używać swego właściwego nazwiska panieńskiego — **Czekańska.** Niedługo potem wyszła za mąż za owego oficera, któremu posyłała paczki i listy i znowu zmieniła nazwisko, tym razem na **Gałąska.**

Stiepan szukał jej przez cały czas. Słał listy do władz Piotrkowa z prośbą o odnalezienie **Krystyny Różyckiej.** Ale takiej tu nie było, takiej tu nie znano. Spotykał Polaków przyjeżdżających do ZSRR i błagał ich: **znajdźcie mi choćby jej grób... Obiecywali, zapisywali i na tym się kończyło...**

PO LATACH

Pociąg Kijów-Moskwa skończył bieg. Owej nocy wszyscy chyba uczestnicy wycieczki z Chorzowa, a wśród nich także inż. Juliusz Wojtowicz zapisali adres Stiepana Nikołajewicza-Riaszczenko, i zapamiętane przezeń dane o Krystynie Różyckiej z Piotrkowa. Spotkali się jeszcze potem w Moskwie, mieszkając w tym samym hotelu. Stiepan kupił nawet jakiś drzeworyt i po drugiej stronie wykaligrafował swoje personalia.

Ale kiedy inż. Wojtowicz wrócił do domu, do Chorzowa, zastał w mieszkaniu remont. Drugiego dnia jednak przypomniał sobie o tej sprawie. Spytał kolegów, z którymi był na wycieczce, czy ktoś ma tamte notatki. Ale jakoś im poginęły. Tylko pewna pani dokter je miała.

Wojtowicz napisał do **„Przekroju"** i do **„Gazety Ziemi Piotrkowskiej".** Listy jego zostały opublikowane. Ktoś przypomniał sobie, że przy Wojska Polskiego mieszkała dziewczyna z ciotką. A z tą ciotką dziś mieszkającą w Łodzi koresponduje jeszcze teraz jakaś mieszkanka tego domu. Zajął się tym Urząd Spraw Wewnętrznych. Odnaleziono ową panią i dowiedziano się w ten sposób, jaki jest aktualny łódzki adres p. Heleny Pacerowej.

Pewnego razu starsza, dystyngowana pani zeszła na dół z trzeciego piętra w towarzystwie swej siostrzenicy — Krystyny Czekańskiej-Różyckiej-Gałąskowej, aby nakarmić jak zwykle bezdomnego kotka, którym się opiekowała. Siostrzenica pożegnała się z ciotką, a do ciotki podeszła dozorczyni i wręczyła list opatrzony urzędowymi pieczęciami. Listonosz nie chciał fatygować się na górę i jak zwykle zostawił pocztę u dozorczyni.

Pani Pacerowa wróciła do mieszkania, a kiedy wieczorem odwiedził ją bratanek, przypomniała sobie o owym liście. Ale poszukiwania we wszystkich kieszeniach i we wszystkich zakamarkach mieszkania nie dały rezultatu. Bardzo późnym wieczorem do drzwi zadzwoniła sąsiadka i wręczając zapieczętowaną kopertę powiedziała, że znalazła ją pod... śmietnikiem właśnie przed chwilą i gdyby koperta była rozerwana, wrzuciłaby ją do pojemnika...

Wiadomość poszła w jedną stronę do inż. Wojtowicza, a w drugą — do Krystyny. Obydwoje nawiązują kontakt. Wojtowicz zapalił się do sprawy, chce pośredniczyć nadal. Mówi więc, że musi odnaleźć adres Stiepana zawieruszony podczas remontu. Nagabywany przypomina sobie, że Stiepan mieszka w Rokitnie czy Rokitnej w obłasti Kijowskoj.

Nie czekając na szczegóły o piątej rano naszego czasu (w Kijowie jest wtedy siódma) Krystyna zamawia rozmowę międzynarodową z odszukaniem. Po dwudziestu minutach jest połączenie. Przy telefonie Szura — żona Stiepana. Po chwili jest Stiepan! Wspomnienie o jej przebiegu dają się streścić kilkoma słowami: łzy, radość, zdumienie...

— Ty żyjesz?! Ja Twojego grobu chciałem szukać!

W ślad za tym poszły zaproszenia.

W kilka dni później Stiepan Nikołajewicz Riaszczenko, dyrektor zespołu cegielni, jechał służbową „Wołgą" do Kijowa na konferencję, a przy okazji miał odebrać bilety na pociąg do Polski. Pech chciał, że wymijająca ich wywrotka wpadła w poślizg, strąciła do rowu „Wołgę" i gdyby nie przytomność umysłu kierowcy tej ostatniej, przygoda Stiepana nie skończyłaby się sześcioma szwami na czole, pęknięciem dwóch żeber i wstrząsem mózgu...

Działo się to pod koniec listopada ubiegłego roku. Potem ustalono termin następny: 26 grudnia. I nagle, gdy już wszystko było gotowe i w związku z jego wyjazdem z ZSRR i w związku z jego przyjazdem do Polski, atak grypy pokrzyżował plany...

Wreszcie 31 grudnia 1973 roku, z wagonu sypialnego pociągu Kijów-Moskwa-Warszawa, wysiadł postawny mężczyzna, w granatowym płaszczu, w kapeluszu na mocno już przerzedzonej czuprynie. Człowiek ten z miniaturą Srebrnego Krzyża Virtuti Militari w klapie marynarki rycząc jak bóbr padł w objęcia efektownej blondynki.

— Stiepan, nie płacz, proszę cię, nie płacz... Poznajesz mnie?!... Poznajesz Henryka, a to Danusia, to Wojtowicz, który tyle dla nas zrobił...

A potem powitanie z Szurą, uroczą kobietą, bardzo inteligentną, pełną serdeczności i ciepła. Stiepan jest najwyraźniej dumny ze swej żony...

Później, w następnych dniach Stiepan jeszcze raz przemierzył szlak swego ocalenia w Piotrkowie. Od terenu dawnego obozu jenieckiego przy zbiegu Wolborskiej i Geodezyjnej, aż do ostatniego miejsca ukrycia, w którym przebywał najdłużej odkarmiany i pielęgnowany przez Danusię i Krystynę.

Nie chcemy i nie umiemy po prawdzie inaczej okazywać gościnności i serdecznych uczuć wobec najbliższych jak właśnie przyjmując ich przy suto zastawionym stole. I tak się też odbyło pożegnanie przyjaciół. Tutaj zebrali się wszyscy, którzy szczęśliwie przeżyli tamtą noc i do dziś cieszący się dobrym zdrowiem.

I my tam byliśmy, toasty wznosiliśmy, a co o tej historii wiemy, wiernie opisaliśmy...

JÓZEF POTĘGA

JANKA BRYL

TRZY RAZY O SAMOTNOŚCI

Bogdan St. Skopiński. Z cyklu „Formy"

1.

Stara sosna przydrożna. Pień lśni jeszcze miedzią, zapowiada długie życie, ale część gałęzi nie ma łapek, została tym gałęziom tylko nazwa.

Często, gdy idę tamtędy ścieżką, słyszę, jak na niewidocznej dla mnie wysokości opukują tę sosnę, niby palce lekarza, drobne, energiczne dźwięki: stuk... stuk... stuk..

Zamiast najpierw uświadomić sobie, co to za stuk, zaczynam oczami szukać w sośnie. Jeszcze go nie dostrzegłem, wiem jednak, kto stuka. Po chwili już go widzę.

Czasem trzyma się pnia pazurkami, wygląda jak pracownik telegrafu czy elektryk, po swojemu, po dzięciolemu podpierając się ogonem; kiedy indziej widzi się go na poprzecznej gałęzi, w którą kuje nie z boku, ale z góry.

Gdy tak puka, początkowo wydaje się, że to dla zabawy. Ma się na początek dźwięki i kolory, dopiero potem, powoli dochodzi się do przekonania, że on właśnie pracuje, że chce jeść. Choć jego głowa nie jest młotkiem, dziób nie jest zaś dłutem, nie da się o nim, jak o innych ptakach powiedzieć, że dziobie. Jak bowiem można dziobać suchą, twardą, lśniącoszarą, dźwięczną gałąź?

Ach, gdybyż to mnie nie trapiła tak często, a właściwie stale inna sprawa: w moich odczuciach jestem nie tylko człowiekiem, ale i pisarzem, który na podobieństwo dzięcioła wszędzie i ze wszystkiego chce wydziobać dla siebie pożywienie; jak bardzo byłbym rad, gdybym idąc mógł zwyczajnie, zapominając o troskach, cieszyć się bezinteresownie, spokojnie, a potem z kimś ot, mimochodem dzielić się wrażeniami, tym, co spotkałem.

Ale cóż począć — trzeba się zmęcić, samego siebie przyłapywać na kolekcjonowaniu wrażeń, na niepotrzebnym rozczuleniu, na poszukiwaniu tematów. Zamiast po prostu poddawać się wrażeniom i mówić o tym tylko wtedy, gdy się chce, mówić jedynie o tym, co rzeczywiście zasługuje na chłonność i uwagę czytelnika.

Dobrze jeszcze jeśli niekiedy, gdy czujesz się na rozdrożu, twoim wątpliwościom przychodzi z odsieczą słowo innego, podobnego do ciebie „rozdwojonego" człowieka.

Istnieje przecież piękna tradycja, tak jak szum leśny czy świergot ptaków, tradycja pieściwego słowa, które — rymowane albo zupełnie wyzwolone z rygorów — odpowiada głosem serca na głosy życia. Są takie słowa i to jest nasze szczęście, jeśli je słyszymy i nasza klęska, jeśli je zagłusza codzienna szarpanina...

Znajduje się w moim pobliżu przedstawiciel tej tradycji. Mówiąc bez przesady, nie poruszy człowieka jak śpiew skowronka czy małe słoneczko rumianka, ale podtrzyma słowem, sercem przyjaciela — a wtedy człowiek pragnie być samym sobą, strzec we wszystkim „godności wolnej myśli", bez której nie ma szczerej pieśni.

Słowa przyjaciela o ostrożnej kropelce, która srebrzy się na samym dziobku jeszcze bezlistnej gałązki, o niewypowiedzianej radości ze spotkania nad rzeką ze wschodem słońca — słowa z cudzej książki pomogły mi mówić tak serio o dzięciole, spotkania z nim zawsze wywołują z pamięci odległe, gdzieś na dnie samym ukryte wspomnienia, ciepłe uczucie...

Głos dzięcioła — stukanie to jeszcze nie głos — słyszałem tylko jeden raz. Dzięcioł ów niemal kwiczał jak schwytane za tylną nogę prosię, oczywiście kwiczał inaczej, po swojemu, pobiegliśmy na jego krzyk, a potem zaczęliśmy się zastanawiać, w jaki sposób mu pomóc...

W pniu starej sosny, mniej więcej na wysokości człowieka, znajdowała się dziupla. Dzięcioł wlazł do niej nie wiadomo z jakiego powodu i nie mógł się wydostać. Otwór w głębi się zwężał, dziupla była ciasna, nie było jak się odwrócić, by dziobem poszerzyć otwór. I oto pstrokaty cieśla zapomniał całkiem o swojej godności — wrzeszczał.

Pamiętam, jak pewnego razu tonął mój przyjaciel, w wodzie było nas wielu, jednak on przyzywał właśnie mnie i byłem mu za to wdzięczny, aż do łez wyjątkowo silnie odczuwałem potem naszą przyjaźń...

Może to porównanie jest naciągnięte — nie ta przecież skala — ale zarówno mnie, jak i innym było przyjemnie biec do dzięcioła, żeby go ratować, a ja miałem wrażenie, że on wzywa właśnie mnie.

Niczyja ręka nie mieściła się w tej pułapce. Choć ty ją rozdzieraj lub leć do autobusu po jakieś ostrze. Byliśmy na grzybach i w niewielkiej grupce znacznie się oddaliliśmy. Dzięcioł krzyczał. Chyba jeszcze bardziej na nasz widok. My zaś nieco uspokoiliśmy się, zauważyliśmy, że między nami jest mały człowieczek, który biegł nieco z tyłu. Mimo wysiłku, po dwudziestu latach nie mogę sobie przypomnieć, czy to była dziewczynka czy też chłopczyk, chociaż chciałoby się wiedzieć, jak bardzo wyrosła tamta dziecięca ręka i co ona teraz porabia? Ale mniejsza o to, najważniejsze, że znalazła się ta maleńka ręka i widzę wyraźnie, jak wsuwa się do dziupli, jak drży ze strachu czy też radości, gdy my tego człowieczka trzymamy pod pachami na odpowiedniej wysokości, jak ta ręka dostała się do wnętrza dziupli, jak ciska się i popiskuje dzięcioł, jak wreszcie ta rączka, zdecydowana i dostatecznie silna, wyciąga na świat boży ptaka bez żadnych strat w upierzeniu, jak chce tego ptaka potrzymać a może i zabrać ze sobą...

Dzięcioł jednak wyrwał się i uleciał.

A już nigdy więcej nie wrzeszczeć i nie wzywać nas, ludzi, na pomoc.

Aby nadal, niby to dla zabawy, ale przecież dla chleba, uparcie i umiejętnie ostukiwać pnie i gałęzie.

Aby jak gdyby wpraszać się tym przyjaznym i swojskim postukiwaniem do drzwi naszej leśnej czy idącej drogami samotności.

2.

Dość często przypominają się zapachy z lat dzieciństwa.

Dla wszystkich, pochodzących ze wsi, raczej wspólne:

więc zapach dymu jesiennych ognisk z perzu, w których żarze pieką się smakowite ziemniaki;

więc wilgotny zapach odwilży, wyślizgany nogami śnieg, gdy ty, zmęczony, brniesz po nim ze szkoły, czując przemoknięte nogami jego wilgotność, gdy łaskocze ciebie ziąb;

więc zapach nizanek z cebuli, wiszących nad tobą nad piecem, gdy ty za chwilę zaśniesz dziecięcym zmęczeniu, jedzeniu i poczuciu szczęścia, które wyraźnie odczuwa się dopiero teraz, gdy zrobiło się tak daleko;

więc zapachy z ogrodu: marchwi, kopru, maków, kapusty, słoneczników — wszystkiego tego, czego smak jest ci tak znany;

więc gnący zapach siana, unoszący się nad dopiero wczoraj rankiem skoszoną łąką — siana w kopicach lub na wozie;

więc zapach pierwszych skib, gdy ty — już jako nie tylko swawolny, ale i po swojemu pracowity, zamyślony pastuszek o niezbyt czystych nogach — idziesz bruzdą aż do końca, potem siadasz na jednej z tych prężnych skib, robiąc sobie wygodne siedzisko i odpoczywasz, dopóki nie zacznie przejmować cię zimno od spodu;

więc... więc... więc...

Prócz zapachów wspólnych, każdy ma swoje, związane ze wspomnieniami osobistymi.

Z pamięci wynurzyła się komora starszej zamężnej siostry, wielka i mroczna komora z szafami, kuframi i kubłami, z kożuchami na ścianie, z pęczkami suszonych ziół pod belką pułapu, z wiszącymi u ściany kiełbasami, z wąskim poprzecznym oknem — przestrzelonym jak witraż promieniami słońca — a przede wszystkim z silnym, miodnym zapachem wosku... Siostra była na tyle starsza ode mnie, że razem z siostrzeńcem, jej synem, chodziliśmy do tej samej klasy, razem byliśmy w mniemaniu starszych urwisami. Tamtego przedwieczerza, po powrocie ze szkoły, gdy nikogo nie zastaliśmy w domu — przez zasuwy i zamki dorwaliśmy się do miodu. Przykre słowo „kradziony" nie jest w tym wypadku odpowiednie, powiedzmy więc, że miód wzięty samowolnie jest o wiele smaczniejszy. Mało go zjesz, ale długo pamiętasz.

A oto jeszcze jeden zapach z dzieciństwa, późniejszy i domowy. Zapach gorącego, dopiero co upieczonego ciasta, przekładanego czymś słodkim, czy w czymś słodkim maczanego, a może po prostu smak wyimaginowany, który mnie niekiedy, więcej niż w ciągu lat czterdziestu, poruszał jak przywidzienie z innego świata. Nazwę tego zapachu, przypominającego pszenicę i dynię, znalazłem na stronicach książki Iona Druty, w jego kolorowej i wonnej pieśni o Mołdawii. To przez tyle lat pachniała mi placinta, nadziewany pieróg, który moja matka, w czasie ośmioletniego pobytu w Odessie obeznana z mołdawską kuchnią, wspominała jako coś niemal mitycznego, jako „placynde", ciągle obiecując ją upiec.

I wreszcie ten zapach z dzieciństwa, który wywołał dzisiaj wszystkie inne, zapach szczególnie się wyróżniający.

Czyście kiedy wąchali łodygę konopi spod śniegu? Jej wysuszoną miotełkę z ziarnami o szczególnie ostrym zapachu?

Wyrośniętą, kosmatą łodygę konopi ścinano przy samej ziemi, przechowywano do zimy — żeby służyła łowieniu szczygłów w pętle z końskiego włosia. Przechowywano po kilka takich łodyg.

Pamiętam zresztą pętle nie tylko na łodygach, ale i umieszczane w obręczy. Drewnianą obręcz, zdjętą z opasłej beczki na zboże, wyplatano sznurkami w kratki, na każdym skrzyżowaniu umieszczając pętlę z włosia. Siadła takie zastawiano na gumnie, przysypując je plewami. Pewnego razu, gdy jeszcze ja sam nie byłem zdolny do takiego polowania, w naszej chacie wczesnym rankiem pojawiło się kilka małych, pstrych i płochliwych kurek z pąsowymi plamkami na wolu. Jakże się cieszyłem! Jak gdyby nie przyszły do nas z głębokiego i mroźnego śniegu, z podstępnej obręczy, ale w gości z niezwykłej, cudownej bajki...

Takie same, no może troszeczkę inne, ale również pąsowe, obowiązkowe i potrzebne dla radości ogienki, które kuropatwy miały na wolu, świeciły się na szczygłich główkach.

Nie pamiętam już, jak przeżyłem przejście kuropatw z baśniowej poezji do czarnej prozy garnka. Natomiast tragedię główki z ogienkiem na łebku pamiętam do dziś.

Ileż to ich spotyka dziecko, człowiek w tym wieku, gdy szybko poznaje i wzbogaca się, szybciej niż w wieku dojrzałym. Ileż to barw ma kuropatwa! A tym bardziej szczygieł! Raduje to wszystko i dotąd. Wtedy jednak, w dzieciństwie, cała ta uroda olśniewała z największą siłą.

Otóż starszy brat powtykał do zaspy w ogrodzie kilka łodyg konopi. Szczegółów nie pamiętam, pamiętam natomiast jeszcze jeden baśniowy poranek, gdy w naszej chacie — a chyba dopiero co się przebudziłem — zjawiło się naraz pełno szczygłów, pełno barwnej, hałaśliwej pstrokacizny. Nie zmieściły się w klatce więc brat parę szczygłów zamknął w szufladzie stołu. Rzecz jasna, był tego ranka uradowany, dumny i szczodry, mówił tylko o tym, komu da po jednym czy po dwa szczygły. A potem — czy to chcąc je jeszcze raz przeliczyć, czy chcąc dla kogoś wydobyć szczygła z szuflady — jednemu z nich brzegiem szuflady przycisnął główkę, zgasł jeden ogienek.

Smutek mój prędko rozwiały migotliwe pobłyski — zielone, czarne, żółte i czerwone.

Smutek nie zmniejszył ochoty, aby samemu łowić ptaki.

Samodzielnie zająłem się tym nieco później. I pamiętam tylko jeden sukces — wywikłałem z pętelki sikorkę.

Przecież nie chciałem być kimś strasznym, sikorka jednak bardzo się bała. Piszczała, trzepotała, zarówno gdy jeszcze wisiała u łodygi jak i w moim ręku, jej malutkie serduszko biło szybko, w chacie, gdy ją wypuściłem, tę pierwszą moją zdobycz, rozpaczliwie, z piskiem uderzała o szybę okna.

Przecież nie chciałem być kimś strasznym...

Upłynęło wiele białych, zielonych, słonecznych i szarych dni. Wspominam, że teraz w jesiennym lesie rosyjskim, gdzie wiele rosłych, pieszczotliwie rozszeptanych brzóz, gdzie czasem za oknem zahuczy samolot, gdzie leniwie i od niechcenia zaszczeka pies, gdzie zaćwierka wróbel i usłyszy się fitu-fitu sikorki.

Nad stołem jest cicho i jasno.

Czasem jest tęsknie i smutno...

Niby to jest normalne, a jednak...

Wciąż czekamy...

I każdego poznanego, nim się rozczarujesz i ochłoniesz, witasz serdecznie, z dawną gotowością.

I to ciche, utajone pragnienie, jeśli czasem przyjrzeć mu się rzeczowo, robi nas czułostkowymi.

Wczoraj pod wieczór, gdy wróciłem ze spaceru, mój duży i jasny pokój nie był pusty.

U białej ramy okiennej tuż nad parapetem zauważyłem sikorkę.

Przecież nie chciałem być kimś strasznym, bardziej niż kiedykolwiek. Chciałem przywitać się i porozmawiać. Ona jednak z rozpaczliwym popiskiwaniem uderzała w szkło, potem krążyła nad stołem, zanim nie znalazła sobie miejsca nad szafą, na przewodzie elektrycznym. Przytuliła się do ściany, ucichła. A ja nadal stałem u progu, skulony, oczekujący, iż sikorka — przecież to takie proste — wyfrunie przez ten sam lufcik, przez który wleciała.

Pełne napięcia chwile zakończyły się nieszczęśliwie: sikorka znad szafy szmyrgnęła prosto do okna, uderzyła główką o szybę i upadła na stół...

Jakże często bywałem w życiu speszony i bezradny. No cóż, wziąłem ją do garści ciepłą jeszcze, z drgającymi łapkami, z rozwartym dzióbkiem. Gdybym był mały, może nawet zapłakałbym. Wyniosłem ją na dwór, do sadu i umieściłem w krzaku, wśród gęstych gałązek. Bez zastanowienia, jak gdyby bez nadziei a jednocześnie z nadzieją na cud.

Późnym wieczorem, wracając ciemną aleją, podszedłem do krzaka i mojej sikorki nie znalazłem. Nazajutrz z rana na trawie również jej nie znalazłem. Ba, oprócz psów chodzą tędy swoimi cichymi dróżkami także i koty...

Teraz, gdy siedzę przy stole, stamtąd, gdzie nagi, nieruchomy las i sad wkoło naszego drewnianego siedliska — stamtąd, szczęśliwie wybierając jedną z moich licznych chwil ciszy, przyleciała i usiadła na ramie otwartego lufcika sikorka. Ach, dzień dobry!

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie z tak małej odległości, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę. Zdążyłem pomyśleć — naiwnie, a może szczęśliwie — że to moja wczorajsza gościa, zdążyłem powtórzyć swoje dawne i wczorajsze „przecież nie chcę być kimś strasznym", ona jednak pokręciła główką, pisnęła: „znamy takich!" i odfrunęła do sadu.

Gdy jej już nie było, odurzająco słodko zapachniała konopna miotełka spod niegdysiejszego śniegu.

— A może jednak zdarzył się cud, może to była ta sama sikorka?

3.

W szerokim trójdzielnym oknie, przed którym stoi moje biurko, jak w jakiej wielkiej ramie jaśnieje krajobraz.

Spojrzenie na świat z wysokości piętra.

Najbliżej — sad. Jakby polana z rzadkimi rzędami karłowatych wisien. Krzak jałowca. Dwie słabosilne jabłonie. Sosenka. Rozpościerająca białe gałązki młoda brzoza.

A dalej ciemny las iglasty. Dziś nad lasem błękit i lekko popielate obłoczki, postrzępione tak, by ich starczyło dla całego nieba.

Ciągle kusi, żeby znad papieru, który dziś jest jakby bielszy, zerknąć przez okno na krajobraz, na lśniący śnieg pomiędzy wiśniowymi drzewkami.

Śnieg leży i na tym miejscu, gdzie jeszcze przedwczoraj ktoś zostawił stare, połamane krzesło.

Nareszcie krzesło zniknęło...

...Chory, cierpiący na bezsenność sąsiad ostrożnie zapukał do moich drzwi. Ale to było właśnie przedwczoraj, gdy zamiast śnieżystej słoneczności panowały chmury i słota. Zapukał z samego rana, chociaż w domach nazywanych domami pracy twórczej, nie jest w zwyczaju niepokoić innych swoją osobą.

Sąsiad nie uczyniłby tego, gdyby jego dzień był zwyczajny, roboczy. Przed trzema tygodniami, gdy mnie jeszcze tu nie było, zabrała go karetka pogotowia. Wrócił ze szpitala dopiero przed paroma dniami. Chciał przezwyciężyć niskie ciśnienie, ból głowy, utrapioną bezsenność i niepokój o żonę, która choruje w jakimś innym szpitalu. Nie przemógł tego wszystkiego. Zdecydował się wrócić do szpitala i leczyć się jak należy.

Czy naprawdę wierzył w to, co mówił — zastanawiam się nad tym ze smutkiem.

Delikatny i taktowny, z przyjaznym uśmiechem przyszedł, jak się okazało, nie bez powodu.

— Proszę mi wybaczyć. Zwracam panu książkę. Przecież jest z biblioteki.

Zrozumiałem go. Mnie zresztą także tego ranka jakoś nie pisało się, czytałem książkę.

Staliśmy obok biurka, przed wielkim obrazem w ramie okiennej, i rozmawialiśmy, gdyż to było łatwiejsze niż milczenie.

— Widok stąd wcale piękny — powiedział sąsiad .— Gdyby tylko nie ta niepogoda... Parszywy listopad!

— I gdyby nie tamto krzesło na ścieżce. Po prostu jak bielmo na oku. Ciągle postanawiam, żeby je stamtąd usunąć i zapominam.

— Przed moim zaś oknem wielka piramida z węgla. Czarna...

Jeszcze raz mnie przeprosił i ostrożnie wyszedł, ja zaś, obrócony tyłem do okna, znowu wróciłem do czytania. Połowa pisarskiej pracy — to czytanie, jednak, gdy się samemu coś napisze, czyta się przyjemniej, spokojniej. Jeszcze rankiem, czując, że praca dziś mi nie pójdzie, zabrałem się do lektury rozpoczętej poprzedniego dnia książki. I wkrótce przeszło niezadowolenie z samego siebie.

Ów przedwczorajszy dzień zaczął się posępnie, ale bez deszczu. Po wyjściu sąsiada bez trudu pogrążyłem się w lekturze. I nagle — ulewa, zupełnie letnia ulewa! Podkradła się do naszego podwórza i napadła na nie gęstym, gwałtownym szumem. Lała nie z ukosa, ale z góry, spiesząc się, by opróżnić chmury z nikomu niepotrzebnej wody.

Kiedy pojaśniało, zobaczyłem przez okno, że na ryżej, pomiętej trawie nie ma owego połamanego krzesła...

Przeto kilka prawd naraz!

Prawda pierwsza: sąsiad mój, to Rosjanin o najlepszych cechach człowieka: dobry, autentyczny, szlachetny — jest to bardzo wiele i nie tak często się zdarza.

Druga prawda — nieco prostsza, ale mogąca zbudzić sceptyczne komentarze: sąsiad zauważył, że czytałem właśnie jego nową książkę...

I trzecia, gorzka prawda: jak mało my, piszący, czytamy jeden drugiego, jak rzadko, jak niechętnie mówimy innym o satysfakcji, wywołanej lekturą ich utworów; jak bardzo taka obojętność chmurzy i lodowaci naszą samotność!

Opowiedziałem sąsiadowi o moich wrażeniach po przeczytaniu jego książki. Robimy to wzajem i już od dłuższego czasu.

Myśl o tym, że trzeba napisać o starym krześle najpierw przeraziła mnie niemęską czułostkowością.

Dziękować jednak bezpośrednio za taką drobną przysługę nie potrafiłem.

Kiedy żegnaliśmy się z nim na śliskim przystanku autobusowym, życzyłem mu prędkiego powrotu do naszego, drewnianego, cichego domu.

— A wtedy uprzątnę sprzed pańskiego okna tamten węgiel!

Uśmiechnął się.

Tylko czemu, mój przyjacielu, uśmiechnąłeś się tak smutno?

Tłumaczył:

JAN HUSZCZA

JANKA BRYL. Wybitny prozaik białoruski. Ur. w 1917 roku w Odessie. Jako pięcioletni chłopiec znalazł się wraz z rodzicami we wsi Zahorie koło Grodna. W 1939 roku w szeregach piechoty morskiej walczył w obronie Wybrzeża. Uciekł z niewoli, potem brał udział w partyzantce radzieckiej.

Wydał wiele powieści, opowiadań, szkiców i reportaży. Przetłumaczył wiele prozy polskiej i rosyjskiej.

Jest m.in. redaktorem antologii poezji łódzkiej.

W 1971 roku ukazał się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego tom jego opowiadań „Patrzeć na trawę" w przekładzie M.J. Kononowicza.

Niniejsze opowiadanie pochodzi z najnowszego zbiorku pt. „Witraż" (Mińsk 1972). Wejdzie do książki opowiadań współczesnych pisarzy białoruskich, wybranych i przetłumaczonych przez Jana Huszczę dla Wydawnictwa Łódzkiego.

MIĘSO Z SOI

Produkty żywnościowe, wytwarzane dziś w całym tego słowa znaczeniu przez człowieka, przekształcają się w jedną z najważniejszych domen przemysłu spożywczego w Stanach Zjednoczonych.

Ich asortyment rozszerza się nieustannie. Firmy amerykańskie proponują je po cenach zazwyczaj znacznie niższych od ich naturalnych ekwiwalentów. Zdaniem specjalistów, w większości przypadków, nowe produkty są tak samo, a nieraz i bardziej odżywcze niż naturalne. Ponadto, zarówno w smaku jak i w wyglądzie, coraz bardziej przypominają produkty, które tworzy natura. Naukowcy w tej dziedzinie twierdzą nawet, iż produkowane obecnie przez człowieka zamienniki żywnościowe nie powinny być rozpatrywane jako jedyne rozwiązanie problemu adekwatnego i tańszego wyżywienia amerykańskiej rodziny. Inni eksperci przewidują, iż na stołach Amerykanów będzie się pojawiać coraz więcej potraw wytwarzanych sztucznie, a także ziemniaków bogatych w białko, otrzymywanych z surowców pochodzących z gospodarki wiejskiej.

Już dziś te nowe produkty żywnościowe szybko opanowują amerykański rynek. Na przykład roczny utarg ze sprzedaży samych tylko zamienników, wykonanych na bazie roślinnej, sięga w przybliżeniu 30 milionów dolarów. Ekonomiści przemysłu spożywczego przewidują, iż ogólny utarg ze sprzedaży sztucznych produktów żywnościowych w USA, do 1980 roku, będzie wzrastał mniej więcej o dwa miliardy dolarów rocznie.

Około 35 procent „śmietanki", którą Amerykanie dodają dziś do kawy, nie jest naturalną śmietanką, a zamiennikiem, produktem zastępczym, wytwarzanym z tłuszczów naturalnych. Niedawno w sklepach amerykańskich pojawił się proszek „jajeczny", który produkuje się z ziarna soi. Reklamuje się go jako produkt bez cholesterolu.

Jednak największym osiągnięciem w tej dziedzinie jest produkcja „mięsa" z ziaren soi. Już dziś można je tak produkować, że nie będzie się różnić ani w smaku, ani w wyglądzie od wołowiny, szynki, mięsa kurczaka, a nawet od wędzonego boczku.

Jedna z kampanii przemysłu spożywczego w USA, tytułem próby, wypuściła na rynek mieszankę mięsną, składającą się w 24 procentach z produktu zastępującego mięso i w 76 procentach z naturalnego mięsa siekanego. Sprzedaje się ją o 10 procent taniej od stuprocentowej wołowiny. Zawartość białka w tej mieszance jest w przybliżeniu taka sama, jak w kotletach siekanych, natomiast zawiera nieco mniej tłuszczu mięsnego. Inna kampania, po przeprowadzeniu ankietyzacji wśród swoich konsumentów, stwierdziła, iż „dobrze" oni reagują na produkowane przez nią mieszanki mięsne. Co więcej, wiadomo, iż w supermarkecie w Minneapolis kupuje się jej trzy razy więcej niż naturalnej wołowiny.

Obecnie amerykańskie kompanie przemysłu spożywczego opracowują długofalowy plan zaopatrywania rynku amerykańskiego w podobne mieszanki mięsne. Według oficjalnych prognoz, do roku 1980 nowe „mięso" zastąpi w 20 procentach mięso naturalne.

F-104 zapewnia SWOJE USŁUGI

W sto sześćdziesiątym drugim Starfighterze (F-104), który rozbił się na wojskowym lotnisku w Luksemburgu w listopadzie 1973 roku, poniósł śmierć siedemdziesiąty ósmy pilot Luftwaffe. Dla NRF jest to prawdziwa klęska, a jedna z gazet zachodnioniemieckich określiła samoloty tego typu jako najdroższe trumny na świecie. Nadano im także ponure przezwisko „fabryki wdów". Starfightery spodowały większe spustoszenie wśród zachodnioniemieckich lotników – pisze korespondent „Paris Match" – niż inwazja na Anglię w czasie II wojny światowej".

Chodzi tu o samolot myśliwski skonstruowany w Stanach Zjednoczonych przez firmę Lockheed. W 1959 roku ówczesny minister obrony Republiki Federal j, Franz Josef Strauss, który snuł marzenia o renesansie Luftwaffe i broni atomowej dla Republiki Federalnej, wolał go od samolotu Super Tiger, produkowanego również przez firmę amerykańską Grumanna, zresztą szybko wyeliminowaną z gry, oraz do francuskiego Mirage-III Dassaulta. Przez moment wydawało się nawet, iż samolot francuski ma szansę, ale Amerykanie czuwali. Mając potężne kapitały w Deutsche Bank, nacisnęli Bonn i sprawę lekko wygrali.

Straussa zafascynowała moc amerykańskich silników odrzutowych o ciągu 7.500 kg, w porównaniu z 4.500 kg Mirage'a. Zresztą Niemcy zachodnie zaczęły się w tym czasie bogacić i cena nie odgrywała roli: 2 i pół miliona marek za jednego Mirage'a czy 4 i pół za jednego Lockheeda, nie miało znaczenia.

Stany Zjednoczone zrobiły doskonały interes: nie tylko sprzedały samoloty, ale w dodatku ich przyszli piloci przez trzy lata musieli się szkolić w Stanach. Natomiast zadufany w sobie Strauss nie zwrócił uwagi na różnice w powierzchniach nośnych aparatu, a więc na 32 m powierzchni skrzydeł Mirage'a i dwóch kikutów skrzydeł o powierzchni 12 m w F-104, które stawiały go w rzędzie samolotów niebezpiecznych przy przeciążeniach, a zwłaszcza podczas zawrotów na skrzydło, kiedy zmniejsza się również przyrost wysokości.

Jednakże zachodnioniemieckich techników opanowała idea ulepszania samolotu. I z myśliwca zrobili myśliwca bombardującego, zdolnego do wykonywania misji bojowych w każdych warunkach, nawet w nocy. Dołożyli setki kilogramów nowego wyposażenia, ogółem ponad dwie tony, zaopatrzyli go w radar nawigacyjny, szybkostrzelną armatkę, wizjer podczerwony, kalkulator elektroniczny, system nawigacyjny i system pilotażu automatycznego oraz nowoczesny wskaźnik pozycyjny. Ale prawdziwym „klejnotem" stał się F-104 dopiero wtedy, gdy już można było podwiesić pod nim bombę atomową. Wprawdzie można ją było podwiesić pod warunkiem, że obok dwóch oficerów zachodnioniemieckich znajdowało się na pokładzie samolotu także dwóch oficerów amerykańskich, a każdy z pilotów miał inny klucz do mechanizmu zwalniającego bombę atomową. Niemniej już sama myśl, że istnieje taka ewentualność radowała serce ministra Straussa.

Koniec końców zakupiono w USA 700 myśliwców F-104 po cenie 6 milionów marek za jednego myśliwca, jako że tymczasem zaopatrzono je w elektroniczne urządzenia zakłócające. Ale w miarę jak oddawano do użytku te wspaniałe aparaty, jeden po drugim waliły się na ziemię, i to z niewytłumaczalnych powodów. Nigdy w żadnym lotnictwie na świecie nie było tak bezprzykładnej hekatomby. Pierwszy pilot zginął 25 stycznia 1962 roku. Kilka dni później amerykański kapitan lotnictwa, Speers, prowadząc formację niemiecką nie zdołał oderwać od ziemi swego F-104 w okolicach Norvenich. Rozbił się, ale co gorsza trzy samoloty, które w tego rodzaju ćwiczeniu startowały „siedząc mu na ogonie", również nie mogły wykonać manewru oderwania się od ziemi i roztrzaskały się na lotnisku nieomal w tym samym miejscu. Cztery na raz!

W latach 1963—1964 trzydzieści dalszych samolotów F-104 rozbiło się w identycznych okolicznościach. Rok 1965 bije wszelkie rekordy: dwadzieścia dziewięć aparatów wytraca szybkość i rozbija się na ziemi, grzebiąc w szczątkach osiemnastu pilotów. W 1966 roku mała przerwa: w okresie kilku miesięcy na samolotach F-104 nie wolno latać w oczekiwaniu na... wmontowanie wyrzucanych foteli. Ta innowacja zmniejszyła liczbę ofiar o połowę. Ale na krótko.

Skandal nabrzmiewa do niebywałych rozmiarów: samoloty-trumny zbierają nadal obfite żniwo, każdego następnego roku rośnie liczba wypadków i ofiar wśród pilotów. W styczniu 1970 roku rozbija się sto szesnasty F-104 i ginie pięćdziesiąty czwarty lotnik Luftwaffe. W tymże roku następuje kres marzeń NRF o posiadaniu broni nuklearnej; kanclerz Brandt podpisuje traktak o nierozprzestrzenianiu broni atomowej. W marcu 1970 roku następna katastrofa: sto siedemnasty Starfighter lotnictwa zachodnioniemieckiego spada w płomieniach pod Flensburgiem, niedaleko od granicy duńskiej. Spod szczątków samolotu wydobyto zwłoki pięćdziesiątego piątego pilota wojskowego lotnictwa NRF — porucznika Joachima von Hassela, jedynego syna byłego ministra obrony.

Wypadek ten wywołał w Niemieckiej Republice Federalnej prawdziwy szok. Kto ponosi odpowiedzialność za ten niepodobny skandal, jak zaradzić złu? Przede wszystkim trzeba kupić w Stanach Zjednoczonych 160 Phantomów, żeby zastąpić nimi stalowy szmelc gęsto rozsiany po ziemi, jak również pozostałe F-104, które niezawodnie rozbiją się w najbliższej przyszłości. Cena: ponad pół miliarda marek. A hekatomba trwa. W ciągu trzech lat, od śmierci Joachima von Hassela, do 31 grudnia 1972 roku rozbija się dalszych trzydzieści dziewięć samolotów. Mnożą się dymisje, albo ściślej mówiąc, nieodnawianie kontraktów na służbę w Luftwaffe. Aby uniknąć niezwykle trudnej sytuacji, Bonn uchwala ustawę, obligującą wszystkich pilotów do pozostania w wojsku w przeciągu najbliższych dziewięciu lat. W przeciwnym wypadku będą musieli zwrócić koszty szkolenia.

Obecnie w Niemczech zachodnich toczy się 29 procesów sądowych wszczętych przez Ministerstwo Obrony NRF przeciwko 29 pilotom Starfighterów, którzy nie odnowili kontraktów i porzucili służbę wojskową. Jeden z nich toczył się ostatnio w Pałacu Sprawiedliwości w Bremie. Przed trybunałem stanął były oficer — pilot z F-104, będący dziś instruktorem lotnictwa w Lufthansie, 32-letni Dieter Schulle. Zasądzono od niego, tytułem zwrotu kosztów szkolenia, 727.355 marek, które ma spłacać w ratach miesięcznych aż do 84 roku życia!

Ponura sprawa F-104 jest dla NRF nader kłopotliwa. Natychmiastowe wycofanie tych samolotów byłoby logicznym następstwem tej całej sprawy, ale pozbawiłoby Luftwaffe dwóch trzecich jej lotnictwa bombardującego. Trzeba więc czekać do 1976 roku lub 1977 roku, aż Amerykanie skonstruują samolot dostosowany do europejskiego nieba. Pytanie dlaczego ma to być konieczne samolot amerykański? Przecież równie dobrze mógłby to być Mirage F-1, latający już z szybkością Mach 2—2. Można by uzbroić Luftwaffe we francuską broń powietrzną. Dassault mógłby ją zaoferować za 22 miliony franków. No tak, ale latać Miragem? Bez sprzeciwu Amerykanów? Nie do pomyślenia! Czyż można wybrać samolot wykonany we Francji, będącej „cierniem" aliansu atlantyckiego? I tak, w oczekiwaniu na 1976 lub 1977 rok, F-104, produkujące wdowy, nadal zapewniają swoje usługi.

JERZY CZECH

▼ CZY NARESZCIE NA DRODZE POKOJU?
▼ SZANSE TRZECH NAJWIĘKSZYCH KONFERENCJI WSCHÓD–ZACHÓD

Gdyby szukać odpowiedzi na pytanie, jaki rejon świata zwraca obecnie największą uwagę — odpowiedź — sądzę — byłaby jednoznaczna: **Bliski Wschód.** Płynna sytuacja, wysoki stopień komplikacji, progi trudności w pokojowym rozwiązaniu zadawnionego konfliktu — wszystko to zwraca zainteresowanie w tym kierunku. Dlatego też dzisiejszy przegląd wydarzeń rozpoczniemy od tematu bliskowschodniego. Tym bardziej że zaczęto realizować **porozumienie Egiptu i Izraela o rozdzieleniu wojsk.**

Informacje agencyjne o porozumieni były krótkie: rządy Egiptu i Izraela oznajmiły o osiągnięciu porozumienia w sprawie rozdzielenia wojsk na froncie suesko-synajskim.

Porozumienie zostało podpisane na 101 km szosy Kair-Suez w obecności dowódcy Doraźnych Sił Zbrojnych ONZ. Na jego mocy oddziały izraelskie opuszczą zachodni brzeg Kanału Sueskiego i cofną się w głąb o ok. 32 km. Wojska egipskie natomiast pozostaną na wschodnim brzegu kanału, chociaż w zmniejszonej liczebności. Nowe pozycje obu armii rozdzielać będzie strefa buforowa o szerokości 10-11 km. W pasie między pozycjami stron stacjonować będą Doraźne Siły Zbrojne ONZ.

Rozdzielenie stron konfliktu ogranicza możliwość prowokacji wojskowych, stabilizuje stan przerwania ognia. Istotniejsze jednak jest to, że **obie strony nie uważają tego porozumienia za ostateczne,** lecz za „pierwszy krok w kierunku ostatecznego, sprawiedliwego i trwałego pokoju". Zrobiono więc pomyślny początek, po którym powinny nastąpić dalsze kroki. Obie strony uważają je za niezbędne i chcą — tak przynajmniej odczytać można komunikat — ustanowić trwały pokój. Każdy, kto uważnie śledził sytuację bliskowschodnią, zrozumie, że oznacza to wreszcie wejście na drogę pokoju.

Wartość osiągniętego porozumienia można mierzyć jeszcze i tym, że toruje ono drogę odblokowaniu Kanału Sueskiego. Prasa kairska podała do wiadomości, że po wycofaniu się oddziałów izraelskich w głąb Synaju — Egipt przystąpi do oczyszczania i poszerzania kanału, nieczynnego przez dobrych sześć lat. Ważna arteria komunikacji wodnej będzie mogła służyć międzynarodowej współpracy.

Zwrot w sytuacji bliskowschodniej **daje dużą satysfakcję naszemu krajowi.** I dlatego, że zawsze opowiadaliśmy się za politycznym rozwiązaniem konfliktu, i dlatego, że uczestniczymy w przedsięwzięciach przywracających pokój przez skierowanie do wojsk ONZ naszej jednostki.

Zdajemy sobie sprawę, że wiele jeszcze upłynie przysłowiowej wody w Wiśle zanim uda się usunąć wszystkie rozbieżności na Bliskim Wschodzie. Ale porozumienie jest dobrym punktem wyjścia do ostatecznych uzgodnień, likwidujących to niebezpieczne ognisko zapalne.

Do optymizmu skłaniają nas również dwie inne informacje agencji: o **przebiegu prac w 12 grupach roboczych Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy** oraz o **wznowieniu obrad plenarnych w rokowaniach na temat ograniczenia sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej.**

II faza europejskiej konferencji zaczyna koncentrować się na redagowaniu dokumentów. Najbardziej zaawansowane są problemy współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej. Uzgodnienie poglądów pozwoliło przystąpić do prac redakcyjnych, które w innych grupach roboczych rozpoczną się nieco później.

Przypomnijmy, że dokumenty końcowe mają być przedstawione do akceptacji w trzeciej fazie konferencji, której oczekuje się w pierwszym półroczu. Miałaby ona odbyć się na wysokim szczeblu — szefów państw i rządów.

Mało spektakularny, obecny etap konferencji, uważany zresztą za najtrudniejszy, jak wynika z tych informacji, przebiega pomyślnie.

Londyński dziennik „Guardian" pisze, iż przed laty, kiedy zapoczątkowany został dialog Wschód-Zachód, był on właściwie rozmową między obcymi sobie ludźmi. Teraz jest inaczej... „Obecnie nawet najskromniejszy sukces konferencji ułatwi porozumienie wojskowe w ramach SALT i rozmów wiedeńskich... Udowodni, że — mimo różnic — obie części Europy muszą się trzymać blisko siebie".

W tej warstwie — niejako psychologicznej — **rzadko ocenia się dyskusję przedstawicieli 35 państw,** pierwszą powszechną dyskusję w tym stuleciu...

Duże nadzieje wiążemy również z rokowaniami wiedeńskimi — 19 państw. Jak wiemy z doniesień agencyjnych, po miesięcznej przerwie wznowione zostały obrady. Nie przeniknęły żadne bardziej szczegółowe wiadomości o postępie w dyskusji, jednak z różnych wypowiedzi można wnioskować, że **ma on miejsce.** I tak np. szef delegacji holenderskiej mówił przed kilku dniami, że po ocenie dotychczasowego stanu negocjacji można sądzić, iż istnieją szanse kompromisu. W podobnym tonie — umiarkowanego optymizmu — wypowiadali się inni negocjatorzy.

Jeśli do tego dodać optymizm, towarzyszący radziecko-amerykańskim rokowaniom o ograniczeniu broni strategicznej, o czym pisaliśmy poprzednio, można mieć nadzieje, że **trzy największe konferencje Wschód-Zachód przyniosą nowy krok w międzynarodowym odprężeniu.**

WITOLD SŁAWSKI

HUMOR i SATYRA

W potocznym odczuciu satyra zwykle łączy się z humorem. Znamy wszyscy te afisze estradowych ansamblów, głoszące: „Humor — satyra — piosenka"... W pismach satyrycznych szukamy przysłowiowej bomby śmiechu i nie znajdując, jesteśmy zawiedzeni. W pismach humorystycznych szukamy satyry... Może zresztą przesadzam z tym szukaniem satyry.

Satyry bowiem nikt nie szuka. Satyra — oczywiście ta z prawdziwego zdarzenia — jest dzieckiem krnąbrnym. A jeśli, o zgrozo, jest to dziecko ambitne — to już naprawdę trudno z nim wytrzymać. Z tej niemożności współżycia wzięło się przed laty hasło: „Satyra nie może być śmieszna" — i drugie: „Humor musi mobilizować, nie śmieszyć". Co się działo potem, wiemy.

Nic więc dziwnego, że w pospolitym zawołaniu: „te! satyryk!" brzmi ta sama niechęć i obcość co w okrzyku: „te! poeta!".

Kiedy Marek Groński jeszcze przed laty opublikował w Łodzi wstrząsający wiersz o Bablu — stało się wiadome, że to jest poeta. Fakt, że zajmował się satyrą (początkowo wspólnie z Ryszardem Wierzbowskim), nie wyeliminował poezji z jego utworów. I dziś, kiedy czytam kolejną książkę Grońskiego — to czytam przecież tom wierszy. Po prostu tom refleksyjnych, bardzo nieraz gorzkich wierszy, a nie rymowanki o kelnerze i dyrektorze.

„...a jesień to jest kuźnia —
od liści czerwona...
Uniesiony szczypcami wiejskiego
kowala
Jak żelazo liść syczy. Nieba
stygnie metal.
Małe słońce. Rozdziera wicher
chmur oponę.
Krążąc nisko nad ziemi
uśpionej obszarem.
Powracają znów słowa, co na
wiatr rzucone —
obietnice, przysięgi... Na wiatr.
I na wiarę.
Na wiatr rzucone słowa wracają
wytrwale —
Ołowianym wyrzutem padają na
szale".

To na pewno jest poezja... A satyra? Mój Boże, czyż nie jest satyrą niezgoda na tragizm tego świata? Na jego małość i ułomność? Czyż nie był satyrą „Nikodem Dyzma" Dołęgi-Mostowicza, tak zresztą zgrabnie sparodiowany w książce Grońskiego? Czyż nie była satyrą opowieść Cervantesa o rycerzu z La Manczy?

„Życie jest snem" — twierdził Calderon. Życie może być satyrą, jeśli w oku i sercu pisarza tkwi okruch diabelskiego krzywego zwierciadła, pozwalający widzieć świat ostrzej.

A że ów świat występuje nieraz okryty opończą rycerza Floryana, który stękał pod dźwięk fanfar? To już inna sprawa. Satyra jest bowiem dziecięciem nie lubianym, stroi więc sprytnie w różne szaty, przebiera w kostiumach... Co tu zresztą kryć — na tym polega jej urok.

By uniknąć nieporozumień, trzeba powiedzieć, że w książce Marka Grońskiego jest także wiele faktów napisanych dla płochej zabawy jeno. Jak choćby to prześmieszne „Tangobiegun", znane z telewizji i kabaretu, jak piosenka „Kochaj mnie intelektualnie"...

Są to teksty dowcipne, finezyjne, zręczne, ale ja wolę te z cyklu „Marginesy", wolę wiersze „W prowincjonalnej Troi". Wydają mi się bardziej trwałe, bardziej uniwersalne, ze znakiem poetyckiej jakości, a przecież także satyryczne.

A zatem „Tak swojo mi" Marka Grońskiego jest książką zarówno dla tych, którzy szukają humoru jak i dla tych, którzy szukają głębszych znaczeń. Jedno przecież nie wyklucza drugiego. Przekonuje nas o tym literatura od czasów — powiedzmy — Cervantesa do Gałczyńskiego i Tuwima.

WIDOK

ZDRADA POD KRZYWĄ WIEŻĄ

Ogólnie szanowana pracownica PGR, Bożena K., lat czterdzieści, wdowa, matka dwóch dorastających córek ma stanąć przed Sądem Powiatowym w Radomsku, oskarżona o nieobyczajne zachowanie się, a następnie jako świadek w sprawie rozwodowej małżeństwa Piotra i Zenobii R. W obronie Bożeny K. wystąpi znany z oratorstwa i głębokiej kieszeni mecenas Alfons D., na którego ręce oskarżona złożyła oświadczenie, stwierdzając, że jest niewinna, a tarapaty, w jakie popadła, wynikają z nadmiernego rozwoju akcji socjalnej w PGR.

Bożena K. jako przewodnicząca Rady Zakładowej organizowała na szeroką skalę wycieczki dla pracowników, ale wyłącznie w zimie, gdyż latem PGR odczuwał niedosyt mocy przerobowej, przez co zresztą często płakała. Kiedyś, na ten przykład, wyjechała z pracownikami w góry. Autokar zajechał pod schronisko w nocy, przeto wycieczkowicze natychmiast zapadli w kamienny sen. Rankiem, ledwie przetarli oczy i spojrzeli przez okno, jęli wrzeszczeć radośnie: „Góry, góry!", po czym wypadli na dwór w piżamach, niektórzy w gaciach z rozwiązanymi trokami i puścili się pędem ze zbocza. Córka stajennego puściła się najostrzej: najpierw biła się piętami w pośladki, potem wpadła w kołowrotek, złamała lewą nogę i Bożena K. miała dużo nieprzyjemności.

Drobny wypadek zdarzył się na Wybrzeżu. Podczas przejażdżki statkiem pijany traktorzysta S., rycząc: „Morze, nasze morze, wiernie ciebie będziem strzec!" rzucił się w fale, wyrżnął łbem o krę i zaczął dryfować; ledwie zdołano go uratować, gdyż od chuchu traktorzysty pękały rzucane koła ratunkowe.

Jednakże ta ostatnia historia ma się jak wesz do wieloryba, jeśli porówna się ją z wydarzeniem mającym miejsce w jednym z wrocławskich hoteli. Otóż, kiedy uczestnicy wycieczki rozlokowali się już, podzieleni na pary małżeńskie, w wyznaczonych pokojach, do akcji wkroczył znany z elegancji (zawsze szelki i pasek u spodni) księgowy oraz z niedowładu krtani, gdyż posiadał głos eunucha.

Księgowy podniósł słuchawkę i wykorzystując swój głos oraz odpowiednio go modulując (takie seksowne drżenie) rozmawiał ze wszystkimi mężczyznami, przedstawiając im wielce kuszące propozycje uciech cielesnych, jeśli tylko zejdą na parter i wstąpią do sali dansingowej. Spragnieni przygody z prostytucją pegieerowcy rychło ściągnęli na salę, lecz nie znajdując propozycji ze strony kobiet, zaczęli się wprawiać w stan upojenia alkoholowego, a gdy się już wprawili, ruszyli w tany, i motali odważnie partnerki do łóżka.

Wówczas wredny księgowy za pomocą guzika obniżył głos do skali A. Zwierza i powiadomił telefonicznie, co się wyprawia na dole, jedynie dwie panie, sam zaś ukrył się za kotarą, oddzielającą salę dansingową od hallu. Oszalałe z zazdrości żony działały bez planu i bardzo szybko, toteż niebawem przed kotarą stawił się rozgorączkowany batalion w nocnych koszulach, gotów ruszyć z pazurami do bezpardonowego ataku. I wtedy księgowy jednym ruchem ściągnął kotarę i włączył duży wentylator. W górę frunęły koszule nocne niczym skrzydła anielskie, lecz pod tymi skrzydłami był już tylko goły seks, co sala przyjęła żywiołową owacją...

Z relacji złożonej mecenasowi Alfonsowi D. wynika jednak, że nie to było najgorsze, jak bowiem zeznała Bożena K., najwięcej hańby, a za tym i stawanie przed sądem, przyniosła ostatnia wycieczka, której początek był już fatalny. Przewodnik klął, kierowca trąbił, a małżeństwo Piotr i Zenobia R. nie zjawiało się na oznaczonym miejscu. Wreszcie pojawili się. Z przodu licząca 95-kilogramów wagi Zenobia, za nią mały stolarz, największy gazer Piotr R., który łagodnie namawiał małżonkę do wydłużenia kroku, co doprowadziło do awarii, gdyż Zenobii pękł pasek od pończoch...

W autokarze małżeństwa rozdzielono, ale R. siedzieli razem, ponieważ Zenobia pilnowała męża, aby sobie nie chlapnął, co zwykł czynić podczas każdej wycieczki. Wszelako stał się cud, albowiem twarz Piotra w miarę upływu czasu soczyście czerwieniała. Do tego stopnia, że mały stolarz zmuszony był uchylić szybkę i puścić pawia w umykającą za oknem przestrzeń.

Wszystko może by się dobrze skończyło, ale pilnujący skrzynki z kanapkami i oranżadą magazynier potknął się o coś i stłukł sobie szczękę. Tym „czymś" okazał się gumowy wężyk, biegnący od zbiornika ukrytego pod siedzeniem, na którym spoczywała Bożena K., do siedzenia zajmowanego przez Piotra R. Odkrycie to wywołało zgorszenie, a Zenobia już wtedy zapałała nienawiścią do Bożeny K.

Potem zwiedzano organy w Oliwie i przewodnik poinformował, że to są bardzo stare organy. Na to wystąpił mały stolarz, stuknął palcem w drewno i oznajmił pośród zapadłej ciszy:

— O żesz k., jakem stolarz, to to nie ma więcej jak pięćdziesiąt lat!

Z kolei nastąpiło zwiedzanie wieży w Toruniu. Przewodnik powiedział, że ona jest trochę mniej krzywa jak ta w Pizie. Wszyscy zaczęli się głupio uśmiechać, rzecz jasna z tej Pizy, ale przewodnik sądził, że z niewiary, więc powiedział, że można stanąć tyłem do wieży, oprzeć pięty o mur, to plecy będą odstawać. Mały stolarz stanął na ochotnika, zaczął się przymierzać, kiwać, aż runął twarzą na ziemię. Zrobił się szum, tylko magazynier tkwił jak posąg na skrzynce z oranżadą i kanapkami. Natomiast rozeźlony stolarz wymknął się z tłumu i pociągnął nad rzekę, gdzie odnalazła go Bożena K. w momencie, gdy zamierzał popełnić samobójstwo przez utopienie. Wywiązała się szarpanina i oboje padli na ziemię, przy czym stolarz znalazł się na wierzchu. Bożena K. mimo próśb i gróźb nie mogła się spod niego wydostać. Wtedy zjawił się zaalarmowany o zaginięciu stolarza i Bożeny K. milicjant, a że ta ostatnia chuch miała również zdziebełko zapalny, wszystko zostało spisane i wysłane, gdzie trzeba. Bożena K. stanie przed sądem. Odebrano jej już funkcję przewodniczącej Rady Zakładowej, córki przestały ją szanować i sprowadzają sobie na chatę chłopaków.

Stąd morał, że nigdy nie należy się śmiać ze stolarza pod krzywą wieżą.

GONTAL

FOTOGRAFIA PREPAROWANA SKOPIŃSKIEGO

PLASTYKA

1.

Miłośnicy „Venus sfotografowanej" wychodzą z wystawy Bogdana St. Skopińskiego rozczarowani, bat oburzeni i pełni pretensji do autora, iż postponuje ciało kobiety, które winno być przecie „piękne, powabne a wdzięczne". Rzeczywiście na fotogramach Skopińskiego akty kobiet nie są piękne, powabne ani wdzięczne. Wręcz odwrotnie.

Inni wychodzą z wystawy w przeświadczeniu, że Skopiński oszukał ich, podsuwając im pod nos coś, co wykracza daleko poza obraz zapisany obiektywem na błonie fotograficznej. Wychodzą w przeświadczeniu, że Skopiński dopuścił się jakichś wątpliwych malwersacji estetycznych, że zdefraudował kapitał artystyczny fotograficznego zapisu. To przeświadczenie jest tym głębsze, że nie bardzo orientują się, co powodowało autorem, który zdecydował się na takie a nie inne działanie, na taką a nie inną deformację. Tym bardziej że sama wystawa skomponowana została w taki sposób, że stanowi pewnego rodzaju zagadkę; łamigłówkę, która nie tłumaczy żadnej z wątpliwości. Przeciwnie. Wątpliwości owe mnoży przewrotnie stwarzając złudzenie, iż autora zajmują jedynie mechaniczne igraszki samą materią fotograficzną.

2.

Faktem jest, że Skopiński poczyna sobie z kliszą bardzo swobodnie. Że tnie ją, przesuwa, nakłada jedną na drugą, układa obok siebie, zapisami. Zapisami spreparowanymi. Nie są to jednak zabawy li tylko formalne. Fotografia preparowana Skopińskiego jest bowiem fotografią niosącą w sobie pewien ładunek treści, w który autor świadomie ją wyposażył. Podkreślić należy owo świadomie, bo nie za dokonuje różnych, a licznych zabiegów, w wyniku których otrzymuje fotografię odrealnioną, spreparowaną zgodnie z własnymi założeniami. Otrzmuje kompozycje, które są świadomie przetworzonymi

Dalszy ciąg na str. 11

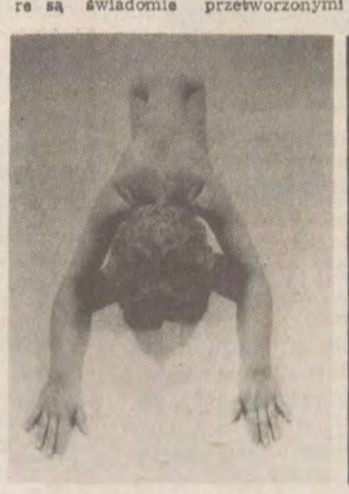

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY

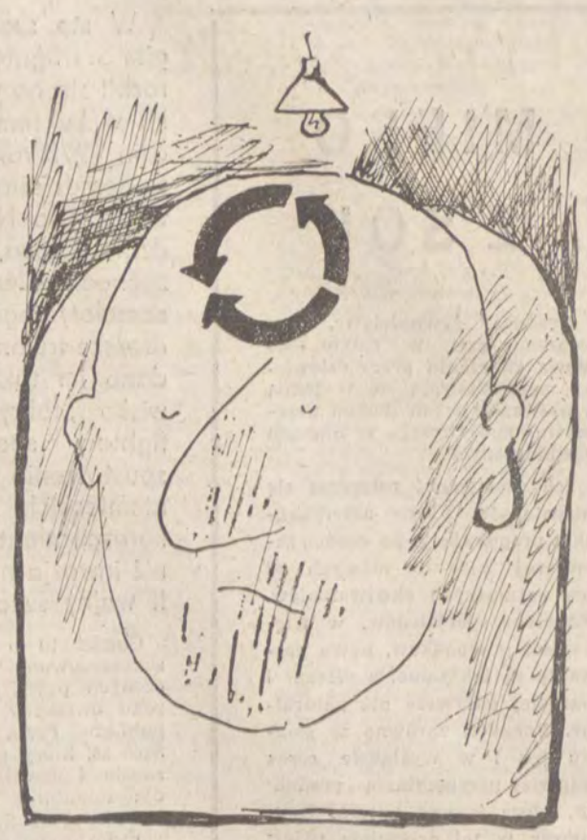

RUNDA Z KOPERTĄ

Wysyłałem przed paroma miesiącami zwyczajny, lotniczy list do Południowej Afryki. Panienka z okienka poleciła mi nakleić znaczki za 7,40 zł. i tak poszło.

Teraz chciałem znów wysłać taki list. Inną panienka, w innym okienku, ale przecież w tej samej poważnej instytucji, rządzonej jednym prawem, jednym cennikiem, jednym systemem przepisów, poleciła stanowczo nakleić znaczki za 4,70. Zaglądała przy tym do różnych grubych książek i do bardzo sfatygowanych zeszytów.

Już chciałem list ze znaczkami za 4,70 wrzucić do skrzynki, ale coś mnie tknęło: a nuż to pomyłka i list nie dojdzie? Bardzo mi zależy, aby doszedł i żeby nikt po drodze nie miał do niego zastrzeżeń.

Zresztą obudziła się w człowieku żyłka hazardzisty: ile też jeszcze wersji usłyszę w tej samej sprawie od różnych panienek? W Urzędzie Pocztowym na Teofilowie zażądano 6,40 zł. Na Piotrkowskiej przy Zamenhofa — 8,40. Na Poczcie Głównej 7,40.

Po takiej rundzie nie tylko nie wiem, ile naprawdę kosztuje list lotniczy do Południowej Afryki, ale co gorsza — przestaję wierzyć w ogóle w jedyność, powszechność i zasadność wszelkich pobieranych opłat pocztowych. Czytaliśmy już o podobnych doświadczeniach klienta, chodzącego po zegarmistrzach z uszkodzonym zegarkiem: w różnych punktach żądane ceny kształtowały się od 20 do 200 złotych, aż wreszcie jeden z mistrzów coś tam przytknął, przytyknął, zegarek ruszył z miejsca a usługa nie kosztowała nic.

Czytaliśmy też o podobnych zjawiskach w branży napraw samochodowych i radiowych. Ale na poczcie? Skąd się to bierze? Skąd się biorą te wysmolone, postrzępione i pokreślone szkolne zeszyty, zamiast normalnego, jasnego i zwięzłego cennika?

Albo taka historia: mam dwie książeczki PKO. Dawniej trzeba było zanieść co jakiś czas książeczkę do centrali przy alei Kościuszki, tam ją za pokwitowaniem zostawić, w wyznaczonym terminie pójść ponownie i odebrać ją już z dopisanymi odsetkami. Więc w połowie grudnia poszedłem, po blisko dwuletniej przerwie, kiedy odsetki dopisywane nie były.

Ale w międzyczasie sprawę znakomicie uproszczono. Kazano mi tylko wypełnić dwa małe druczki, osobny na każdą książeczkę, zostawić je (bez pokwitowania) i czekać.

W pierwszych dniach stycznia otrzymałem druczek, z którym polecono mi udać się do któregokolwiek urzędu pocztowego, gdzie dopiszą mi wyliczone w tym druczku odsetki. Druczek ten dotyczył tylko jednej książeczki i tylko odsetek za rok 1972. Cały rok 1973 umknął uwadze urzędników PKO, jak również cały drugi mój wniosek, dotyczący drugiej książeczki.

Po odczekaniu dalszych dwóch tygodni wypełniłem ponownie w jednym z urzędów dwa wnioski o dopisanie odsetek: za rok 1973 i za dwa lata. Panienka zgarnęła wnioski na dużą kupkę i kazała czekać.

Czekam już znów dwa tygodnie — i nic się nie dzieje. Nigdzie interweniować ani przypominać nie można, bo nie ma żadnych śladów, że ktoś coś w ogóle robił, obiecywał, zapowiadał. Mogę wypełnić takie wnioski jeszcze sto razy i porozkładać je po wszystkich urzędach pocztowych w Łodzi i województwie. Nikt nigdy nie sprawdzi, co się z nimi będzie działo, nikt też nigdy nie przewidzi, kiedy wreszcie nieszczęsny, skazany na bierność klient PKO otrzyma radosny wpis w książeczkach, informujący o należnych mu odsetkach. Usprawnienie jest więc znakomite, ale nieskuteczne, a raczej odnosi skutek odwrotny do zamierzonego: może spowodować beztroskie wielokrotne składanie druczków, którymi nikt się nie będzie przejmował, bo są poza wszelką możliwością kontroli. Tyle co świstek, rzucony na wiatr. Jak się rzuci tysiąc, to może jeden dofrunie do celu.

Myślę, że malutka część takiego wniosku powinna zostać w ręku klienta. Zawszeć to by było jakieś zobowiązanie dla dostojnej Instytucji. A nam, klientom, łatwiej byłoby wtedy posłoczyć na powolność w załatwianiu takich wniosków. Mielibyśmy dowody tej powolności, których dzisiaj nie mamy tak samo, jak nie mamy nadal odsetek, które nam się należą.

ĆWIEK

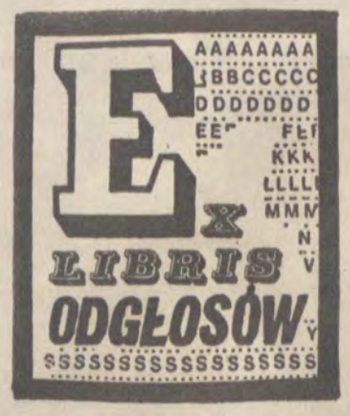

„WERTEPY"

„...Ta książka rozciąga się między sprzecznościami. Przyrodę i jej sprawy ocenia w niej oko malarza, a często poety. Ludzi — oko wątrobiarza..." Tak pisał w „Pograniczu powieści" Kazimierz Wyka o książce Leopolda Buczkowskiego „Wertepy". Przed wojną fragmenty tej powieści drukowane były w lwowskich „Sygnałach". Po wojnie „Werteny" ukazały się w roku 1947, obecne wznowienie przygotowało Wydawnictwo Literackie. Akcja powieści toczy się we wsiach leżących na pograniczu dawnej Galicji i Wołynia w czasach międzywojennych. Ten egzotyczny świat ludzi — koniokradów, znachorów, wiejskich cwaniaków pędzących potajemnie samogon przedstawia Buczkowski w sposób niezwykle sugestywny. Ciemne sprawy łączące niektórych bohaterów nie wahających się przed popełnieniem odrażającej zbrodni, splot dziwacznych namiętności, zapiekła złość tkwiąca w ludziach, to wszystko składa się na zagęszczony, ponury klimat „Wertepów".

Leopold Buczkowski „Wertepy", Wyd. Literackie, Kraków 1973, str. 195, cena zł. 10.—

„HISTORIE PRAWDZIWE"

Blaise Cendrars, zmarły w 1961 roku pisarz, znany jest już polskiemu czytelnikowi. W serii „Nike" ukazał się niedawno zbiór opowiadań powstałych w latach trzydziestych pod przewrotnym tytułem „Historie prawdziwe". Bo też ten wielki obieżyświat, jakim był Cendrars, każe nam wierzyć w swoje pełne awanturniczych anegdot historyjki z życia poszukiwaczy diamentów, kowbojów, piekarza okrętowego, czy londyńskiego kanalarza, któremu udało się dotrzeć kanałami do brytyjskiego skarbca. Znakomity, dynamiczny styl pisarza, soczysty, barwny, nieprzegadany opis, zaskakująca fabuła — to główne atuty prozy Cendrarsa. Zupełnie inna sprawa, to świetny przekład Juliana Rogozińskiego.

Blaise Cendrars „Historie prawdziwe", Czytelnik, W-wa 1973, str. 170, cena 16 zł.

„Z PARYŻA — W PRZESZŁOŚĆ"

Książka Aleksandry Olędzkiej-Frybesowej ma podtytuł „Wędrowki po Europie". Bo też powstała w wyniku podróży autorki do Francji, Hiszpanii, Belgii i Holandii. Nie jest to jednak zbior reportaży z trasy wędrówek. „Z Paryża — w przeszłość" to refleksje o rzeczach widzianych i opisanych w tej książce, ale refleksje sięgające odległych epok, powiązane z lekturą i przemysleniami o drogach, rozwoju sztuki i kultury, o powiązaniach i zależnościach twórców. Jest to także książka, ktora uczy uważnego przypatrywania się dziełu sztuki, patrzenia w detal, fragment, który często umyka uwadze przypadkowego widza. Liczne ilustracje, którymi uzupełniona jest książka Aleksandry Olędzkiej-Frybesowej podnoszą niewątpliwie walory poznawcze tej publikacji.

Aleksandra Olędzka-Frybesowa „Z Paryża — w przeszłość", Wyd. Literackie, Kraków 1973, str. 357, cena zł. 40.

JESZCZE RAZ SIENKIEWICZ

Ostatnio mamy szczególny urodzaj na publikacje o życiu Henryka Sienkiewicza. Szczegóły i fakty związane z pięcioma Mariami, które los zetknął z wielkim pisarzem, są już niemal powszechnie znane. Że jednak tego typu literatura, co by się nie mówiło, mająca posmak towarzyskiej plotecz-ki, ma ogromne wzięcie u czytelników, przeto można przewidzieć, że drugie już wydanie książki Barbary Wachowicz „Marie jego życia" rozejdzie się błyskawicznie. Tym bardziej, że Marie zostały spopularyzowane także w cieszącym się dużym powodzeniem telewizyjnym cyklu „Kobiety ich życia" przygotowanym i prowadzonym przez Barbarę Wachowicz. Zamiast więc pisać jeszcze raz o jej książce, zamiast niepotrzebnie przypominać, kim były owe Marie w życiu Sienkiewicza, poinformujemy raczej, że autorka przygotowuje obecnie książkę o bohaterkach z cyklu „Kobiety ich życia" opowieść o losach ziemi Stefana Żeromskiego „Ciebie jedną kocham", serial telewizyjny poświęcony jego młodości, monografię bitwy pod Narvikiem i cykl miniatur o legendarnych postaciach Podhala pt. „Rzeźbione requiem". Znając dociekliwość i pasję autorki w wyszukiwaniu interesujących dokumentów, mało znanych faktów i ciekawych szczegółów, a także jej charakterystyczy gawędziarski sposób opowiadania, pozostaje tylko cierpliwie czekać na zapowiedziane tytuły.

Barbara Wachowicz „Marie jego życia", Wyd. Literackie, Kraków 1973, str. 403, cena zł. 40.

„GORGONOWA I INNI"

Zbiór reportaży Edmunda Żurka, wydany pod dziś jeszcze chwytliwym tytułem, boć odległa już sprawa Gorgonowej ciągle jest wspominana przez starsze pokolenie, powstał dzięki trzyletniej pracy tego popularnego już dziennikarza. Żurek studiował stare akta sądowe, rozmawiał z sędziami, prokuratorami, obrońcami, a także z oskarżonymi. Efektem tego są reportaże z głośnych, ale i też mniej znanych, procesów poszlakowych, drukowane wcześniej w „Argumentach", „Tygodniku Kulturalnym" i „Prawie i Życiu". Wśród siedmiu, składających się na obecnie wydaną książkę, jest m.in. tytułowy proces Gorgonowej i sprawa Tarwida. Żurek pisze w sposób niezwykle obiektywny, rzec by można, beznamiętny, relacjonując tylko fakty i opierając się o opinię prawników. Komentarz autora, jeśli czasem występuje, to tylko w niezbędnym, minimalnym wymiarze. Nie może zresztą być inny, skoro tematem jest proces poszlakowy.

Książka „Gorgonowa i inni" ukazała się w 20-tysięcznym nakładzie. I na pewno szybko zniknie z księgarni.

B. M.

Edmund Żurek „Gorgonowa i inni", Książka i Wiedza 1973, str. 218, cena zł. 15.

WARTO PRZECZYTAĆ

M. BUŁHAKOW „Mistrz i Małgorzata", Czytelnik, cena zł 35.—

K. BRANDYS „Listy do pani Z.", PIW, cena zł 18.—

E. JACKEL „Hitlera pogląd na świat", PIW, cena zł 15.—

„C. NORWID — W 150-LECIE URODZIN", praca zbiorowa, PIW, cena zł 28.—

E. JUSTYNOWICZ „Nabrzeże malarzy", Wyd. Morskie, cena zł 12.—

T. NOWAK „Wybór wierszy", PIW, cena zł 18.—

J. PROKOPCZUK „Historia powszechna 1871—1939", PZWS, cena zł 62.—

J. WITTLIN „Vademecum dla pań młodszych i starszych", Wyd. Literackie, cena zł 20.—

FILM

KŁOPOTY Z DZIEĆMI

Grzechm pierworodnym twórczości dla dzieci i młodzieży jest nagminne niedocenianie inteligencji i wrażliwości artystycznej młodego odbiorcy, toteż utworki takie zazwyczaj „upupiają" czytelnika i widza przez swój okropnie pieszczoszkowaty styl i namaszczony dydaktyzm.

Jakaż satysfakcja spotkać się z utworem wolnym od tej wady, a ponadto od jeszcze jednej, najbardziej chyba rozpowszechnionej, o której — później. Oglądaliśmy właśnie prapremierę takiej udanej sztuki w teatrze, który wśród pozostałych łódzkich scen ma bodaj najskromniejsze doświadczenia z twórczością dla najmłodszych — w Teatrze Muzycznym przy Północnej, a głównym sprawcą miłego wydarzenia jest znany i ceniony na naszym terenie krytyk teatralny i publicysta Jerzy Panasewicz, mający zresztą na swoim koncie dość istotny dorobek na polu twórczości dziecięcej.

Rzecz dzieje się na dworze bajkowego, śmiesznego i zupełnie odartego z majestatu, Króla Pomidora. Główny wątek akcji stanowią perypetie związane z ubieganiem się zalotników o rękę pięknej Królewny Kasi. Zdobędzie ją ten, kto zerwie grające jabłka z zaczarowanej jabłoni, strzeżonej przez piekielne moce. Czy poślubi królewską córę tchórzliwy a pyszałkowaty rycerz? Nie ma mowy! To dzieje się przecież w bajce, toteż na rękę jej zasłuży sobie odważny młody ogrodnik o czystym sercu.

Kiedy się specjalnie śledzi przez dłuższy czas rozmaite teksty dla dzieci — zarówno poetyckie, jak i prozatorskie, literackie, jak i teatralne nietrudno dostrzec, że zgrabne rymowanki Panasewicza przewyższają o głowę przeciętną bieżącą twórczość. Bogactwo pomysłów, świeżość wyobraźni, celny dialog, pełen trafnych obrazowych sformułowań.. Ale nade wszystko ma ta sztuka jedną niezwykle rzadko spotykaną zaletę, którą może się pochwalić mało kto od czasów niezrównanego mistrza wierszy dla dzieci — Juliana Tuwima. Zachowując wszystkie proporcje, chcę powiedzieć, że Panasewicz potrafi zaadresować utwór do określonej kategorii wieku, operować zasobem słów i pojęć o zbliżonym stopniu trudności. Jeżeli „wychyla" się ponad ten tekst porozumiewawczo w stronę dorosłego audytorium, to i tak zasadnicza warstwa znaczeniowa pozostaje dla dziecka całkowicie zrozumiała. To rzadka umiejętność u autorów dla dzieci i z pewnością potrzebny do niej „językowy słuch".

Sztuka jest pełna humoru, roi się od świetnych pomysłów, jak związany z przebiegiem akcji konkurs na piosenkę, jak rywalizacja na prztyczki i fikanie koziołków, jest też bogata w dowcipne określenia (o wiedźmach, którym się „charakter popsuł" bo im się odechciało nękać ludzi). Świat baśniowej grozy tyle akurat wzbudza lęku, ile trzeba artystycznie, i na ile wolno wobec dzieci, w czym z pewnością też zasługa reżysera, który zwłaszcza od aktu drugiego nadał sztuce wartkie tempo, ale na pewno i — choreografa, któremu zawdzięczamy płynny, pięknie zrytmizowany ruch sceniczny, dzięki czemu wejścia i zejścia dworzan mają charakter nieustabnego korowodu tanecznego, co znakomicie ożywia scenę niezależnie od dwóch udanych tanecznych ensemblów. Podobać się też mogły dobrze wypełniające swą funkcję dekoracje, choć tu i ówdzie dodałbym jeszcze baśniowego przepychu rodem z... operetki; dowcipne były stroje. Nieźle brzmiał niewielki chórek, a bardzo sprawnie spisywał się zespół orkiestrowy, prowadzony pewną ręką Beaty Ambros.

I teraz dopiero słów parę o drugim oprócz autora tekstu sprawcy dzieła — kompozytorze. Zaryzykowałbym opinię, że muzyka do tej sztuki, oparta szczęśliwie na nowszych rytmach rozrywkowych, pomimo swojej niezaprzeczalnej melodyjności i łatwego wpadania w ucho, jest jednak nieco zbyt uboga w swoim harmonicznym podkładzie i może w ostatecznym efekcie dlatego za mało zróżnicowana i wcale niełatwa do zapamiętania.

Z wykonawców najbardziej przypadli mi do gustu (a może i dzieciom?) w kolejności obsady: dobry aktorsko, zabawny król safanduła, opanowany przez dworski babiniec — CZESŁAW JAROSIEWICZ; trochę rozpieszczona jedynaczka, Królewna Kasia, świetna wokalnie — MAŁGORZATA WILKÓWNA; niewielkie możliwości popisu wiązały się z rolą Ochmistrzyni — KRYSTYNA PRZYBYLSKA-POTEMPSKA; więcej w sztuce mający do powiedzenia aktorsko niż śpiewaczo, w roli niewydarzonego rycerza Fanfarona — JANUSZ DUŃSKI, któremu dzielnie sekundował pachołek, śpioch i obdartuch Ziewajło — ZBIGNIEW BOBOWSKI, postać o rodowodzie wprost od „pyzatego chłopca" z „Klubu Pickwicka". W niewdzięcznej roli błazna (bo niełatwo w tej konwencji być komicznym) wystąpił doskonały ruchowo i w miarę wesołkowaty CZESŁAW GRĄCKI, który trochę gorzej sobie radził z logicznymi akcentami tekstu, a szlachetno chłopięcą postać Jaśka Ogrodnika stworzył dobrze śpiewający ANDRZEJ FOGIEL. Jak stworzony do roli Czarodzieja okazał się mefistofeliczny, interesujący wokalnie ANDRZEJ POPIEL, któremu nie dość wiernie służyły Wiedźmy siostrzyce — przezabawna Stara Wiedźma SABINA GROCHOWSKA i Młoda, mogąca wywieść na manowce najniezłomniejszego rycerza ANNA GĘBICKA-TRELA. Obie spisywały się znakomicie we wspólnym tańcu. Trochę w konwencji teatru, powiedzmy — nieprofesjonalnego wypadły role Staruszka (ZDZISŁAW SIKORA i jego wnuczki Stokrotki — LUDMIŁA WARZECHA. Ale kto by się czuł dobrze pełniąc straż przy „udawanym" smoku?

Należy się teatrowi duże uznanie za przygotowanie utworu dla małych widzów z tak wyraźną starannością. Szkoda tylko, że na czas grania tej małoobsadowej przecież sztuki zawieszono całkowicie przedstawienia z repertuaru dla dorosłego widza.

JAN KWIECIŃSKI

*) „Baśń o grających jabłkach". Tekst: Jerzy Panasewicz; Muzyka: Adam Brzozowski; scenografia: Barbara Michiewicz-Szrajber; choreografia: Bożena Mamontowicz-Łojek. Prapremiera w Teatrze Muzycznym w Łodzi.

TELEWIZJA

PERSZERON

MOTTO:

„Pegaz — skrzydlaty koń poczęty przez Meduzę za sprawą Posejdona (...). Pod uderzeniem kopyta Pegaza miało powstać źródło Hippokrene na górze Helikon, ulubionej siedzibie Muz; stąd Pegaz jest symbolem natchnienia poetyckiego".

„Mały Słownik Kultury Antycznej" (Warszawa 1968)

Śmiem twierdzić, że my, Polacy jesteśmy narodem bardzo kulturalnym. Nie chodzi mi jednak bynajmniej o kulturę bycia, tu bowiem mamy wiele, a nawet coraz więcej do zrobienia, lecz o pewne zbiorowe przejęcie, z jakim dyskutujemy o różnch fragmentach kultury artystycznej. Klimat rozmów o sztuce jest w tym kraju bardzo namiętny, krzyżują się sądy ostre i apodyktyczne, fajerwerki polemik na tematy kulturalne co rusz wybuchają na łamach prasy społeczno-kulturalnej. Jesteśmy narodem o bogatej tradycji kulturalnej, narodem, w którego trudnej historii kultura pełniła funkcje nie przypisane jej gdzie indziej w takim wymiarze. Stanowiła bowiem jedyną ostoję narodowego bytu, pełniła polityczny „rząd dusz" i była „solą tej ziemi".

Z takiego pojmowania kultury wiele pozostało w naszych postawach wobec rzeczywistości, w której się poruszamy. W naszym współczesnym myśleniu i w naszych narodowych aspiracjach kultura nadal budzi nadzieje nieco przesadzone i emocje trochę jakby patologiczne. Biorą się one stąd, że w tej radosnej gadaninie brak jasnego sprecyzowania celów społecznych kreacji artystycznej. Niezaprzeczalne bogactwo polskiej sztuki współczesnej jest nieomal niewidoczne w środkach masowego oddziaływania, a jeśli nawet tam pojawi się zostaje rozmienione na drobne. Ferment myślowy, który wywołują dzieła polskich pisarzy i polskich twórców teatru, plastyki i muzyki jest czysto retoryczny i nie znajduje konstruktywnego wprowadzenia w szeroki obieg społeczny przy pomocy mass-mediów.

Patologiczny rys rozwoju kultury widoczny nie tylko u nas polega więc na rosnącej odległości pomiędzy kulturą artystyczną, która egzystuje w tradycyjnych świątyniach teatrów, filharmonii i salonów plastycznych a kulturą masową. Przenikanie wartości między tymi dwoma typami kultur od artyzmu do masowości jest prawie niedostrzegalne, można jedynie wyśledzić pewne imitacje atrakcyjnych schematów formalnych (przykładem graficzne inspiracje scenografii telewizyjnej). Adaptacje literackie w telewizyjnym teatrze nie są pełnowartościową repliką oryginalnego tekstu, popularyzacja ambitnej plastyki współczesnej napotyka w tv barierę koloru, a muzyka poważna nie znalazła tutaj — jak do tej pory — trafnych formuł wizualizacji, nawet film kinowy nie sprawdza się w pełni na szklanym ekranie.

Kiedy zbilansujemy straty powstałe w wyniku telewizyjnej prezentacji sztuki łatwo dojdziemy do wniosku, że telewizja może pełnić jedynie funkcje informatora zjawisk artystycznych. Jej podstawowym celem w dziedzinie wprowadzania masowego widza w arkana kultury artystycznej rozwijającej się poza telewizją winno być przemyślane działanie na rzecz kształtowania pozytywnych motywacji, rozbudzania wyższych potrzeb kulturalnych. Tymczasem — jak się zdaje — tv jak gdyby zazdrosna o swoje wpływy od niechcenia tylko działa na tym ważnym dla całości kulturalnej polu. Publicystykę kulturalną w telewizji cechuje regres. „Panorama literacka" prowadzona w dawnych już czasach ze zmiennym szczęściem pretendowała jednakowoż do rangi propozycji, o której teraz tylko marzymy. Program ten posiadał ambicje kształcące literacką publiczność i dbał o atmosferę sporu pobudzającego do myślenia nad literaturą. Pozostały jeszcze tylko coraz rzadsze ostatnio „Rozmowy z pisarzem" pomysłowo prowadzone przez Aleksandra Małachowskiego i to chyba wszystko.

Stosunek telewizji do bardziej wysublimowanych obszarów kultury wyraża się w pełni w magazynie kulturalnym, który regularnie funkcjonuje pod dumnym szyldem „Pegaz", a która to nazwa prowadzona do jego zawartości obraca się w nie zamierzone szyderstwo. W „Pegazie" zasada kulturalnej informacji zostaje sprowadzona do parodii, z której wyłania się model zadowolonego z siebie bywalca-dyletanta, który wszędzie był i wszystko widział, ale nic nie przeżył i nic nie zrozumiał.

Panuje tutaj duch inwentaryzacji, która niewiele wspólnego ma z inwencją. Kultura stanowi dla redaktorów tego programu inwentarz wydarzeń i ludzi, z którego wyparowały idee i wartości. Próżno będziemy szukali celowego związku pomiędzy różnymi mikroreportażami, które składają się na tę audycję, tworząc spodziewaną koncepcję całości. Jedyną koncepcją jest tu kulturalny kogel-mogel.

Michał Misiorny, prezenter programu, który wysławia się z niejakim trudem i nie zawsze poprawną polszczyzną, nie próbuje swoją mało telegeniczną osobowością wywołać wyrażenia panowania nad całością, lecz sprowadza swoją obecność prawie wyłącznie do funkcji stołu mikserskiego. W ten sposób zostają zaprzepaszczone szanse intelektualnego zaktywizowania telewidza, dla którego świat kultury kończy się poza ekranem telewizora. I trudno nie przyznać mu racji, gdyż świat zjawisk artystycznych oglądany w „Pegazie" nie przedstawia się zbyt pociągająco. Grają, gadają, malują, śpiewają i znowu grają... idę spać!

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

PLASTYKA

Dalszy ciąg ze str. 10

ma tu mowy o przypadku czy spontanicznym działaniu.

3.

Skopiński studiował tkaninę i malarstwo w łódzkiej szkole plastycznej u Ogrodowczyka i Jaeschkego. Malował po dyplomie dużo; obrazy w zawężonej gamie kolorystycznej, potem kompozycje monchromatyczne na pograniczu grafiki, w których kolor wprowadzony był jako wykrzyknik, znak zapytania, akcent, podkreślenie. Potem zainteresował się ceramiką i zastosowaniem jej w architekturze. Zarówno w malarstwie jak i w realizacjach ściennych głównym kierunkiem działania było poszukiwanie formy i wzajemnych relacji różnorodnych faktur. Forma i struktura była wyznacznikami artystycznego działania.

Skopiński sięgnął po tworzywo fotograficzne między innymi po to, aby sprawdzić swoje doświadczenia wyniesione z praktyki malarskiej. Aby posunąć się o krok dalej w swoich poszukiwaniach formy. W malarstwie zajmował się formą czystą. Fotografia dała mu możność zajęcia się przedmiotem realnym. Z przedmiotów realnych wybrał najpierw ciało ludzkie. Ciało kobiety. Zdeformował je tak dalece, że odrealnił je, że sprowadził do formy czystej. Zakreślił koło i wrócił do punktu wyjścia. Wrócił bogatszy. Potem Skopiński sięgnął po element pejzażu i z pejzażem uczynił to samo, co z ciałem kobiety.

4.

Z fotogramów Skopińskiego emanuje dojmująca atmosfera osamotnienia i pustki. Smutku. Pejzaże jego są puste, a poprzez powtarzanie w nich tych samych elementów zapis pustki i osamotnienia potęguje się, narasta, wielokrotnieje. Emocje wynikają tu z braku emocji, z ascezyi, z natężenia szarego waloru. Odrealniona forma kobiecego ciała jest przerażająco samotna na tle realnych drzew, traw. To białe ciało niczym amorficzna rzeźba z marmuru obce jest otoczeniu; zdaje się być obce samo sobie. Wydaje się że jest martwe i że proces anabiozy dokonać się już tu nie może. Za późno.

5.

Kobiety na fotogramach Skopińskiego nie mają twarzy. A jeśli Skopiński pokazuje twarz to w skrócie w zdeformowaniu. Jest to bardziej maska niż twarz. Plecy, biodra, ręce, palce u nóg wyrażają więcej niż ta obojętna, wyprana z wyrazu twarz. Skopiński zatem uogólnia. Syntetyzuje. Przez anonimowość podkreśla wyobcowanie.

6.

Estetyka Skopińskiego jest brutalna. Może budzić i budzi sprzeciw. Nie ma tu „ładności" w potocznym tego słowa znaczeniu. Ale ta estetyzacja jest zamierzona. Skopiński w ten właśnie, a nie inny sposób, pragnie wykazać niespójność elementów składowych tego świata. Ich wzajemną obcość. Odrębność. Nawet wrogość. Można zgadzać się lub nie zgadzać z taką interpretacją świata, ale nie sposób odmówić Skopińskiemu racji wynikających z własnego spojrzenia, nie sposób odmówić mu samodzielności artystycznego wyrazu.

ANDRZEJ GRUN

MAGAZYNEK

WIĘCEJ TAKICH INICJATYW

Wzruszający list nadesłał nam pan J. D. ze Zgierza. Otóż pan J. D. będący obecnie na emeryturze, posiada sporo wolnego czasu. Czyniąc ostatnio porządki w swoim pokoju stwierdził, że po odsunięciu szafy od ściany, powstaje za nią sporo wolnego miejsca, zupełnie nie wyzyskanego. Pan J. D. wpadł na kapitalny w swej prostocie pomysł, świadczący zarazem o jego serdecznym podejściu do rzeczywistości. Pan J. D. jest gotów przyjąć do tego kąta za szafą jakiegoś, jak to rubasznie określa „reżyserka filmowego". Mieczka by mu dał na spodeczku, cukru kostkę i przez cały dzień dzieliłby się z nim swoimi poglądami na życie. Wieczorami dla odpoczynku śpiewaliby na głosy. Pan J.D. jest człowiekiem tolerancyjnym, szanuje cudze poglądy, nie lubi tylko, tu cytujemy: „gadułów, mądrali i okularników". Warto dodać, że pan J.D. jest skłonny zezwolić reżyserowi na używanie zlewozmywaka. Warunki, podkreśla pan J.D. są do uzgodnienia, z tym że prosi o wpłacenie należności z góry za cały pobyt, bo wtedy będzie w lepszym nastroju. Uważamy propozycję za ponętną i oczekujemy zgłoszeń od reżyserków. Z przyjemnością podejmujemy się pośredniczenia. A może ktoś jeszcze odsunie szafę od ściany i wpuści za nią człowieka filmu...

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina"

K.I.G.

JESZCZE JEDNO ZWYCIĘSTWO

Znany ze swojej energii pastor angielski D. Goldman w ramach walki z upadkiem obyczajów zaopatrzył każdy dom publiczny w telewizor ale niewiele to pomogło. Znacznie lepszy skutek odniosło wręczanie klientom tychże domów biletów do kina. Tak więc w niełatwej rywalizacji telewizji z kinem raz jeszcze zwyciężyło kino.

NIE ZNANY LIST DO KOPERNIKA

W dziupli pod Łęczycą odkryto nie znany dotychczas list do Kopernika, w którym nadawca (podpisany „Życzliwy Bartosz") ostrzega wielkiego astronoma, iż w przyszłości być może nakręcą film o Jego Życiu.

CIEKAWE ZJAWISKA

Nie wiadomo jeszcze na czym to polega, ale stwierdzono, że niektórzy widzowie serialu telewizyjnego „Czarne chmury" po obejrzeniu kolejnego odcinka zaczynają być niechętnie nastawieni do jego reżysera. Natomiast inna grupa widzów wynosi na podwórka swoje nieraz kosztowne telewizory.

RADA DLA RODZICÓW PIĘCIORACZKÓW

Już niedługo dzieci zapragną chodzić do kina. Kupienie pięciu biletów to znaczny wydatek dla rodziny. Można jednak postąpić rozsądniej i ekonomiczniej. Kupujemy jeden bilet i posyłamy do kina tatusia a on po powrocie opowie treść filmu swoim pociechom. I pieniążki zostaną i oczęta się nie zmęczą.

JAK ROZERWAĆ SIĘ NA NUDNYM FILMIE

Oto nasza rada: Prosimy żonę, by do torebki włożyła małą, metalową kuleczkę. Gdy film jest nudny, wyjmujemy kuleczkę z torebki i rzucamy z rozmachem w widownię. Teraz z żoną przystępujemy do szukania naszej kuleczki. Czas spędzony na poszukiwaniach upłynie nam wesoło i szybko. Gdyby jednak kuleczka została odnaleziona zbyt szybko, rzucamy ją następny raz, oczywiście już w innym kierunku. Z czasem tak polubimy szukanie naszej kuleczki, że rzucać ją będziemy również na niektórych ciekawych filmach posyłając na poszukiwania wtedy tylko żonę.

KRYZYS

W Japonii, w związku z kryzysem energetycznym, aktorzy filmowi mówią znacznie wolniej i wyraźniej. Ciągle jednak trudno zrozumieć, o co właściwie im chodzi, bo mówią po japońsku.

SZAMIL GABAJDULIN (ZSRR)

PO CO SKAKAĆ?

Hydraulik i pomocnik palacza siedzieli w kotłowni, rozprawiając na zawodowe tematy. Przed nimi, na podręcznym warsztacie, który spełniał w tej chwili rolę stołu, sterczała butelka wódki. Zagryzali kiszonym ogórkiem.

— Pyskują na nas, że za grosz byśmy się dali powiesić — mruknął hydraulik, spoglądając na opróżnioną już do połowy butelkę.

— Też masz się czym przejmować — odparł pomocnik palacza.

— Mnie to wisi dokładnie, że wypisują o nas w gazetach całe epistoły.

— Staram się być dla każdego lokatora jak rodzony ojciec — zaskomlał załamany duchowo hydraulik.

— A ja — jak starszy brat! — dodał pomocnik palacza, po czym podniósł się. — Skoczę do sklepu po butelkę!

— Od razu widać, żeś młody i masz zielono w głowie — skarcił go hydraulik. — Po co masz skakać? Lokatorzy sami przyniosą zaraz butelkę, zobaczysz. Przykręć tylko ten wentyl, który doprowadza parę do trzeciej sekcji...

Przeł. ADAM OCHOCKI

Fot. W. Paryś

POWIĘKSZENIA

SAMI MŁODZI

W czasopiśmie „Nowy Wyraz", które ma podtytuł „miesięcznik literacki młodych", drukują ostatnio coraz młodsi. Na przykład Lech Budrecki.

Czytelnikom, którzy się dziwią, odpowiemy, że co prawda Budrecki debiutował w „Twórczości" bodaj w roku 1946, a pierwszą książkę wydał w roku 1953, ale zaczynał jako cudowne dziecko i dziś ma zaledwie czterdzieści parę lat.

Nie jest to — jak na młodego — dużo. Ostatnio „Literatura" ogłosiła dyskusję z młodymi reżyserami, z których większość do czterdziestki się zbliża.

A w ogóle — życie zaczyna się po czterdziestce!

BUTY SIĘ ZNALAZŁY

„Znalazły się buty Józefa Rowicza" — donosi w „Literaturze" **Jerzy Andrzejewski.** Buty salowa wepchnęła szczotką za walizkę pana Wiktora...

Szalenie się cieszymy, że buty się znalazły. Cieszymy się również, że sympatyczne wrażenie zrobił na Andrzejewskim nowy pacjent **„młody chłopak, blondyn z długimi, ale starannie wypielęgnowanymi włosami"...** Dziennik „Z dnia na dzień" może się stać interesujący.

OCENA

„Reżyserzy, zarówno filmowi jak i coraz częściej teatralni, zupełnie się nie orientują, co aktor w danej chwili soba reprezentuje. Nie chodzą do teatru, nie oglądają aktorów na scenie..." — oświadczyła **Alina Janowska** w wywiadzie dla „Perspektyw".

Tajemnica tej miażdżącej oceny wyjaśniła się na końcu wywiadu. Oto Alina Janowska mało występuje w filmie i telewizji, a teatr absorbuje ją w minimalnym stopniu.

TECHNIKA NA CO DZIEŃ

Pewna warszawska gazeta, która w ramach podnoszenia wiedzy technicznej społeczeństwa informowała nas ostatnio, co to jest winda — ma nową rewelację. Tym razem o liczniku elektrycznym. Jest to — cytujemy — **„urządzenie, które mierzy zużycie energii elektrycznej".** Przepalenie się bezpieczników jest natomiast wynikiem — cytujemy — **„zwarcia czyli po prostu uszkodzenia pralki.**

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

JAMES BALDWIN

INNY KRAJ

Dotknął wilgotniejącego czoła Idy i w tym momencie zdumiał go wyraz jej oczu. Spoglądała na niego tak, jak gdyby rzeczywiście była dziewicą przyobiecaną mu od dnia narodzin, która twarz oblubieńca widzi po raz pierwszy w małżeńskiej komnacie, kiedy rozejdą się weselni goście. Ustał zgiełk zabawy, zapanowała cisza, ratunek można znaleźć jedynie w łóżku małżonka. Jednakże Ida zdobyła się na uśmiech.

— Nigdy nie spotkałam takiego jak ty człowieka — szepnęła tonem podziwu i niechęci zarazem.

— Cóż, mówiłem ci już, że nigdy nie spotkałem takiej jak ty dziewczyny — odparł i bezwiednie zadał sobie pytanie, jakich też ona spotykała mężczyzn.

Wolno wsunął dłoń między jej uda, ona zaś sięgnęła do sekretnego miejsca Vivalda. Odczuł, że po raz pierwszy jego ciało przedstawia dla Idy tajemnicę, a więc i on, Vivaldo, stał się nagle w jej oczach absolutną zagadką. Po raz pierwszy dotykała go ze zdziwnieniem i grozą, świadoma, że nie wie, jak pieścić powinna. Nie mogła także pojąć, czego pragnie, jakkolwiek władała nią myśl, że pragnie jej.

— Ale spałeś z wieloma takimi jak ja dziewczynami, prawda? Z czarnymi dziewczynami?

— Spałem z wieloma rozmaitymi dziewczynami.

Mówili szeptem, bez uśmiechu. Ich żar przybierał na sile, zapach ciała Idy podniecał, łączył się z ostrzejszym zapachem jej potu. Vivaldo był teraz między jej udami, w jej dłoniach, a ona spoglądała lękliwie w jego oczy.

— Z czarnymi także, prawda?

— Aha...

Nastąpiła długa pauza. Dziewczyna westchnęła przejmująco. Później uniosła głowę, cofnęła ją możliwie najdalej.

— Czy to były znajome mojego brata?

— Nie... Nie. Tamtym płaciłem.

— Rozumiem.

Ida opuściła głowę na poduszkę, zamknęła oczy. Setsnęła, później rozsunęła uda. Koce przeszkadzały Vivaldowi, więc odrzucił je i przez moment w pozycji półklęczącej podziwiał miód, miedź, złoto i czerń jej ciała. Później zapragnął, aby zwróciła twarz w jego stronę, rozchyliła powieki.

— Ida. Spójrz na mnie.

Dobyła z siebie bliskie jęku westchnienie, zwróciła twarz ku niemu, lecz oczu nie otwarła. Vivaldo ujął jej rękę.

— Pomóż mi...

Na sekundę uniosła powieki i opuściła znowu, lecz tym razem z nikłym uśmiechem. On opadł na nią z wolna i całując jej usta pozwalał, aby wiodła go ręka Idy. Wreszcie zwarli się rozdygotani i ręce dziewczyny umknęły, ogarnęły go w uścisku. Tamtym płaciłem! Ida westchnęła — tym razem długo, z poddaniem. Rozpoczęła się walka.

Walka ta nie przypominała zapasów z minionej nocy, kiedy Ida rzucała się pod nim jak narowisty koń lub ryba na piasku. Teraz była rozdygotana, lecz skupiona, a on zdawał sobie sprawę, że jeden niebaczny ruch może zmrozić ją, odtrącić, więc uważał również. Jej ręce wędrowały wzdłuż pleców Vivalda — tam i z powrotem — raz jak gdyby przyciągały go bliżej, raz odpychały w sposób cudownie niezdecydowany, zmuszając do chrapliwych, przewlekłych jęków z głębi gardła. Otwierała się przed nim i umykała jednocześnie, a on miał wrażenie, że płynie pod prąd dzikiej rzeki w dżungli i wypatruje źródła, które kryje przerażająca, buzująca, ociekająca rosą, niemal czarna zieleń. Później zdawać się mogło, że nastąpił przełom. Ich brzuchy starły się okrutnie, ręce Idy opadły, uda zwiotczały przedziwnie, z ust wydobył się przez obnażone zęby szczególny, głuchy poświst. Po chwili dziewczyna ucichła, dłońmi chwyciła go za szyję. Przeminął moment. Vivaldo spoczął, aby wnet zacząć znowu. Nigdy uprzednio nie był równie wytrwały, stanowczy, bezwzględny. W nocy ona obserwowała Vivalda. Obecnie, z rana, on obserwował Idę, zdecydowany przywieść ją do ostateczności, posiąść bez reszty — nawet gdyby w kulminacyjnym momencie, kiedy dziewczyna wykrzyknie jego imię, serce miało mu pęknąć. To było dlań o wiele ważniejsze niż własna rozkosz. Pożądał na inną niż dotąd modłę, płonął odmiennie i lodowaciał w miejscach, gdzie raz po raz muskały go jej lotne ręce. Ona niby tonąca uczepiła się dłońmi karku Vivalda i umilkła — absolutnie umilkła, jak dziecko milknie, nim chwyci oddech, by wybuchnąć płaczem, zanim cios spadnie, zanim rozpocznie się długi upadek. A on bezlitośnie, zawzięcie popychał ją ku otchłani. Zwarli się tak, że Vivaldo nie wiedział, czy ciało Idy porusza się wraz z jego ciałem. Czuł, że łóżko dygoce pod nimi, słyszał, że skrzypi i trzeszczy. Dłonie umykały z jego karku, szukały szyi, piersi, ramion i dziewczyna zaczynała wić się pod nim jak gdyby próbowała być dalej i bliżej zarazem. Wreszcie jej ręce znalazły właściwą drogę, oplotły go drażniąco i pieszczotliwie. Dalej! Dalej! Vivaldo poczuł, że targnął nim dziwny skurcz, jak gdyby przełamywało się coś, sięgało wyżej, rozdzielało piersi, jak gdyby rozpłatał ją wzdłuż ciała. Zaczęła jęczeć słabo, nieporadnie; zdawać się mogło, że podniesieniem ręki usiłuje zatrzymać ocean. I oto do Vivalda wrócił niespodziewanie cały jego sentyment, cała tkliwość, całe pożądanie. Byli już blisko celu. Dalej! Dalej! Vivaldo zmuszał ją do galopu, cicho postękiwał z rozkoszy i pierwszy raz w życiu odczuwał coś w rodzaju trwogi na myśl, że wnet musi zeń wypłynąć coś niezmiernie cennego, chronionego od dawna. Jęki Idy zmieniały się w szlochanie, w zdławione okrzyki. Vivaldo! Vivaldo! Vivaldo! On przywierał do niej tak jak ona do niego i mokry od potu, obolały, ślepy i sprężony powtarzał jej imię. Wreszcie przyszło długo oczekiwane odprężenie. Poczuł, że twarz mu się kurczy, a gwałtowny nurt powietrza przez ściśniętą krtań przebiega. Jeszcze raz wykrzyknął bezdźwięcznie jej imię i ogrom miłości wypłynął zeń, aby trafić do wnętrza Idy.

Po długim czasie Vivaldo poczuł we włosach palce Idy, spojrzał jej w twarz. Uśmiechała się sennie, z zamyśleniem.

— Zejdź ze mnie. Nie mogę drgnąć pod tym twoim wielkim białym cielskiem.

Pocałował ją, wyczerpany teraz i zaspokojony.

— Najpierw mi coś powiedz.

Spojrzała nań zalotnie, chytrze i drwiąco. Wydawała się obecnie kobietą, a zarazem nieśmiałą dziewczynką.

— Co chciałbyś usłyszeć?

— Mów, Ido.

— Nigdy jeszcze tak nie było... To pierwszy raz...

— Naprawdę?

— Tak... Byłam blisko... Ale nigdy tak jak dzisiaj. A tobie było dobrze?

— O, tak! Nie możesz mnie porzucić.

— Na razie pozwól mi wstać.

Odwrócił się na wznak, a ona wyskoczyła z łóżka i poszła do łazienki. Vivaldo odprowadził wzrokiem jej smukłe ciemne ciało, które teraz należało do niego. Woda pociekła z wanny, zaszeleścił natrysk i w tym momencie Vivaldo usnął.

(Fragment) Przełożył: JAN DEHNEL

James Baldwin urodził się w 1924 r. w nowojorskim Harlemie. Sporo podróżował, po czym osiadł w Paryżu. Powieść „Głoś to na górze" (1953), przełożona na polski w 1966 r., zyskała mu markę czołowego pisarza murzyńskiego Północnej Ameryki.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 436 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź ul. A. Czerwonej 28
Zam. 113. C-12. Nr indeksu 37006